

Teatr Narodowy: „Sto dni". Ostatnie pożegnanie Napoleona z Matką

Fot. J. Malarski

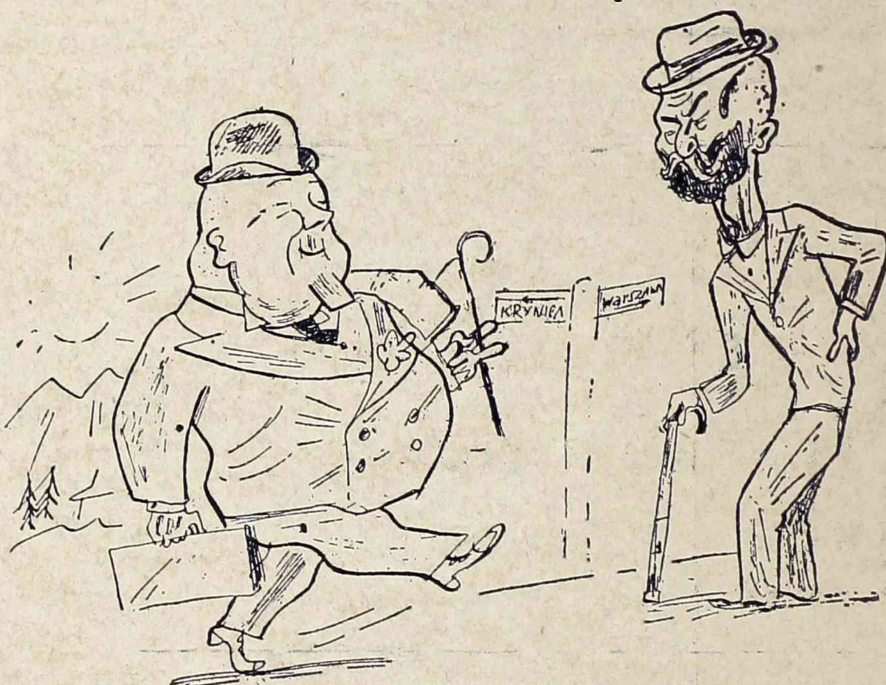
30·IV 1932

SWIAT

N·18

HUMOR POLSKI

MODA NA KRYNICĘ

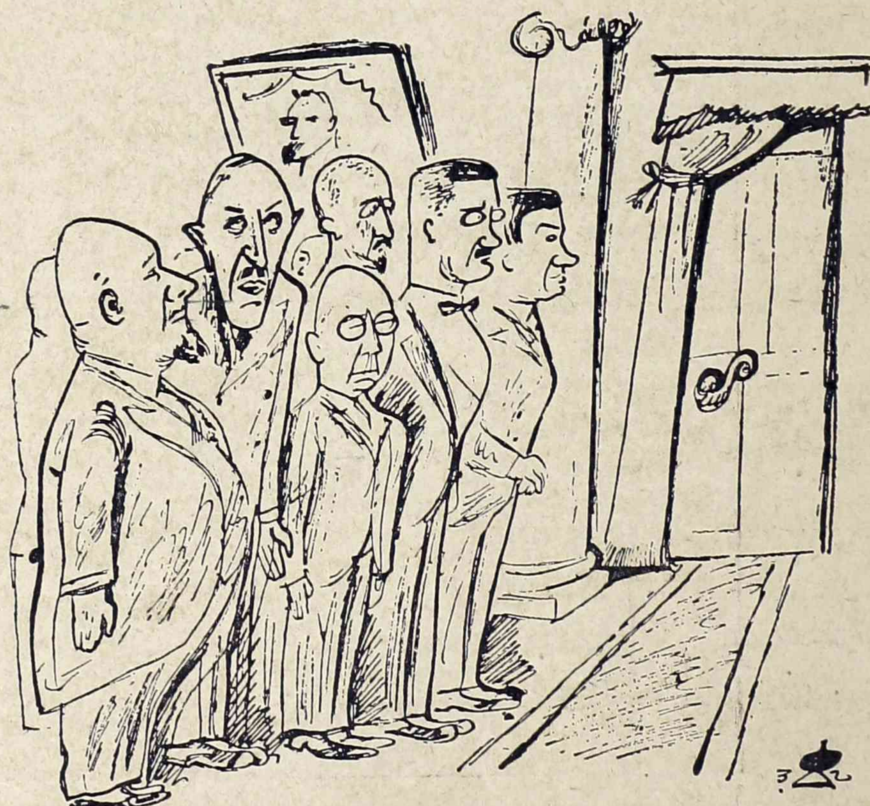


Rys. J. Zaruba.

Zuber krzepi! „Cyrulik Warszawski"

JESZCZE RAZ „POWRÓT TATY"

CZYLI RZĄD W OCZEKIWANIU MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO



Rys. PiK

„We łzach go czekam i trwodze"...
„Cyrulik Warszawski"

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ŚWIAT

ROK XXVII

NR. 18

WARSZAWA, DNIA 30-go KWIETNIA 1932 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Z powodu przypadającego w tych dniach obchodu 25-lecia Towarzystwa Krajoznawczego, zwróciliśmy się do zasłużonego inicjatora i kierownika tej instytucji z prośbą, by zechciał podzielić się z naszymi Czytelnikami swemi wspomnieniami. P. Aleksander Janowski przychylił się do naszej prośby. Oto garść Jego interesujących wspomnień.

Wspomnienia Krajoznawcze

Romantyzm nasz postawił przed oczy i serca narodu wizję Polski rozpiętej na krzyżu, umęczonej, „Chrystusa narodów", przelewającą swą krew za wyzwolenie ludów. Ta podniebna koncepcja wyniosła Polskę na szczyt Monsalwatu, dokąd nie docierało nic, co ziemskie i pospolite.

Jako reakcja trzeźwa i życiowa zjawiła się teza pozytywizmu, który z podobłocznych sfer ściągał myśl polską ku prozie życia, a do swego hymnu wciągnął huk młotów parowych i warczenie maszyn.

Z obu tych programów wyciągnięto najcenniejsze wartości, z których narodziła się idea krajoznawcza. Idea zresztą nie nowa, gdyż oparła się na programach Staszica, Filaretów, Oskara Kolberga, Wojciecha Jastrzębowskiego, jeśli już nie sięgać do prac Długosza i poprzedzających go kronikarzy.

Na pierwszym punkcie swego programu postawili sobie krajoznawcy obowiązek poznawania kraju, zda się tak prosty, jasny i konieczny, że nie mógł budzić żadnych wątpliwości, ani dyskusyj. I tak rzeczywiście przyjęło tę ideę społeczeństwo polskie, ale każde drgnięcie spętanego narodu budziło niepokój władz zaborczych, to też i rzecz tak napozór niewinna, jak wycieczki po kraju, wydawała się podejrzaną i zaostrzała czujność czynników rządowych.

Wprawdzie w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku nie było już tak groźnie, jak o kilka lat wcześniej, kiedy architekta p. Marconiego za odrysowanie kamienic w Kazimierzu nad Wisłą pędzili strażnicy piechotą do Puław, jako wielce podejrzanego osobnika, lecz i potem, aż do wyjścia wojsk rosyjskich z Polski, wycieczka po kraju budziła poważne zaniepokojenie wśród policji i żandarmerji.

Założenie Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego poprzedziła paroletnia działalność wycieczkowa, zwłaszcza młodzieży szkół średnich, która na szlaku swej wędrówki spotykała stale wzruszające dowody poparcia ze strony wszystkich warstw ludności polskiej, a ciągłe utrudnienia i szykany ze strony władz rosyjskich.

Instynkt plemienny działał, często może podświadomie, ale zawsze na korzyść wycieczkowiczów: plebanja, dwór, chata prześcigały się w świadczeniu ułatwień młodym turystom, idącym z hasłem: „poznaj swój kraj". Trudniej było w małych miasteczkach, gdzie strażnicy baczniejszy rozciągali nadzór, natomiast w większych miastach wpływowa inteligencja zawodowa, oparta o swe znaczenie i stosunki, nie lękała się otaczać opieką i poparciem młodych pionierów.

A oni szli w młodzieńczej dumie, że czynią coś, co jasną sprawę i ogólne dobro ma na względzie. Szli oni, potomkowie pokolenia styczniowych tragicznych bojów, a przyszli ojcowie lub bracia legjonów z pod Rokitny, Rarańczy lub Kostiuchnówki.

Chłopaki te czuły rozpierającą ich pierś ideę wyzwoleńczą, a gdy Bolesław Hryniewiecki z paru kolegami z Lublina, z pod teroru Siengalewicza, zaintonował w ruinach Bochotnicy „Boże, coś Polskę", było to zaiste święte misterjum, co na całe życie ich i ich potomków rzuciło fundament myśli zdobycia i utrzymania niepodległości.

Przez kilka lat przed założeniem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego spędzałem wakacje na wycieczkach po kraju z młodzieżą. Zwykle dwunastu chłopaków z wyższych klas różnych szkół stanowiło tę wierną, zaprzysiężoną drużynę. Do wyprawy szykowano się: uczono się pieśni, rysawano mapy, streszczano książki, opracowywano poezje. Szły listy do ważniejszych punktów marszruty. Nawiązywano porozumienie z młodzieżą innych miast. Pokoik na trzeciaku na Sosnowej pod pierwszym gościł często przybyszów z całej Polski. Odbywały się narady, które zaważyły mocno i na strejku szkolnym, ale głównie kreślono marsztuty nowych wypraw, omawiano minione.

A było o czem mówić: wycieczka dostarczała niewyczerpane mnóstwo tematów. Zaaresztowano nas nad Gopłem, zabrano paszporty, spisywano protokół. Pod Tomaszowem Lubelskim konny oddział kozaków otoczył nas i poddał szczegółowej rewizji, przyczem dopytywano się głównie, poco mamy ze sobą szczotki? W Lublinie przyłączył się do nas jakiś pan komisarz, ofiarując się na przewodnika po osobliwościach miasta, jakoż zaprowadził nas do komendy policji, gdzie nas poddano osobistej rewizji, a żandarmi tymczasem rewidowali nasze rzeczy, złożone w żydowskim hoteliku koło Bernardynów.

— Co? to panów puścili? pytał ze zdumieniem właściciel hotelu, ny, ny!

A miałem wtedy nawet trochę strachu, bo Antoni Anusz, wielki działacz ludowy, gwałtem pakował nam książki dla Chełmszczyzny. Gdyby je u nas znaleziono, zapewne hotelarz nie byłby nas oglądał, ale, biorąc na siebie odpowiedzialność za towarzyszącą mi młodzież, nie mogłem jej narażać na poważne konflikty z władzami, Anuszowe książki zostały na Sosnowej, a dopiero później różnemi strumykami poszły na Chełmszczyznę.

Takich zatargów z władzami było pełno na każdej wycieczce. Zwłaszcza aparaty fotograficzne budziły paniczny przestrach strażników. Dość było stanąć z aparatem przed kościołem, starym domem z podcieniami, lub grubą żydówką w kramie, gdy gdzieś z pod ziemi wyrastał czający się strażnik i stereotypowo zapytywał: „a szto eto pan, wy kakije to płany snimajetie?" Nie pomagały tłumaczenia, że ta stara żydówka nie jest objektem strategicznym, ani krzywa karczma—fortecą. Nie pomagało nic. Dopiero srebrny rubel z portretem J. C. M. wyjaśniał



ALEKSANDER JANOWSKI

sprawę: strażnik sam prowadził jeszcze do ciekawych, w jego mniemaniu, osobliwości, gdzie ustawiał się w najwidoczniejszem miejscu, pozując do zdjęcia, które w takich razach robione było na pustej ramce bez kliszy.

Zatargi te z władzami budziły bohaterską dumę w sercach młodzieży, która czasami zbyt nawet ryzykownie reagowała. Zajęto nas za Przasnyszem do obozu wojskowego w Bartnikach. Jakiś oficerek zwrócił się do Tadeusza Wojno z pytaniem:

— A szto u was Kawieckaja?

— „Kazała się panu kłaniać"— pogardliwie odpowiedział Tadek, odwracając się plecami. To też drugi oficer rzekł do swego kolegi.

— Eto nie turisty, a awanturisty.

Jakoś wybrnęliśmy i z tego, wędrując na Kurpie, pouczeni jeszcze przez jakiegoś majora, że z Kurpiami trzeba bardzo ostro.

— Ot ja był u Kurpia na mleku. Wypił. Pytam skolko? A baba mówi: nie nada, ja mówię: bieri baba diengi, a ona: nie wezmę, to ja mówię: bieri baba, a to budu strielat', i ona wtedy wziała. Ot tak trzeba z Kurpiami.

Nie potrzebowaliśmy tych wskazówek stosować w życiu. Wprawdzie baby też nie chciały brać za mleko, ale cukierki i obrazki dla dzieci a książeczki dla dorosłych, to były naboje, któremiśmy „strielali do Kurpi".

Długą musiałaby być lista tych, którzy spieszyli z moralną i materjalną pomocą wycieczkom. Były to nieraz jakgdyby tryumfalne pochody. Podczas wycieczki wzdłuż Wieprza, w Zamojszczyznę, wyznaczył nam punkty oparcia p. Stanisław Moskalewski, a wszędzie przyjmowano nas nie już jak najmilszych gości, lecz prawie jak bohaterów. Było to nawet demoralizujące dla chłopców, bo tematem rozmów było, czy też na następnym postoju będzie jeszcze lepsze przyjęcie? Muszę tu wspomnieć o serdecznej gościnie u księdza Bosackiego w Kadzidle, u p. Mazarakich pod Pińczowem, a gdyśmy, dążąc do Ojcowa, dochodzili wieczorem do Goszczy, zawrócono nas do dworu, gdzie zmęczone chłopaki spożywały wprost niewiarogodne porcje poziomek. A gdy pani domu wyszła, aby wydać jakieś dyspozycje gospodarcze, pan domu mówi do nas: „moja żona ma tam w kredensie całą wazę poziomek na konfitury, to weźcie, jej tu jeszcze naniosą mnóstwo nowych". Bardzo delikatnie wymawialiśmy się, a gdy pani wróciła, zdumiona zobaczyła wazę doszczętnie opróżnioną.

Nie zapomnę serdecznej gościnności sołtysa w Brodowych Łąkach, ani tej szklanki kawy, którą urocza panienka w Wojciechowicach wylała mi w pośpiechu do kieszeni, ani zadziwiającej gościnności we dworze w Kościelcu pod Koninem, gdzie na odchodnem wyładowano nam na drogę prowiantami kosz, który dwóch chłopców musiało nieść, ani gościny u hr. Adama Krasińskiego w Opinogórze. Przemiłą gospodynią była p. doktorowa Boryssowiczowa w Chodczu, proboszcz w Broniszewie nad Gopłem, w Lądzie nad Wartą, państwo Lescy pod Wyszkowem, pp. Chełchowscy w Chojnowie, zresztą trudno nawet spamiętać te wzruszające dowody serdecznej gościnności, jakie otrzymywaliśmy. Szewc w Kole wyreparował pięć par butów, nie chcąc przyjąć ani grosza zapłaty:

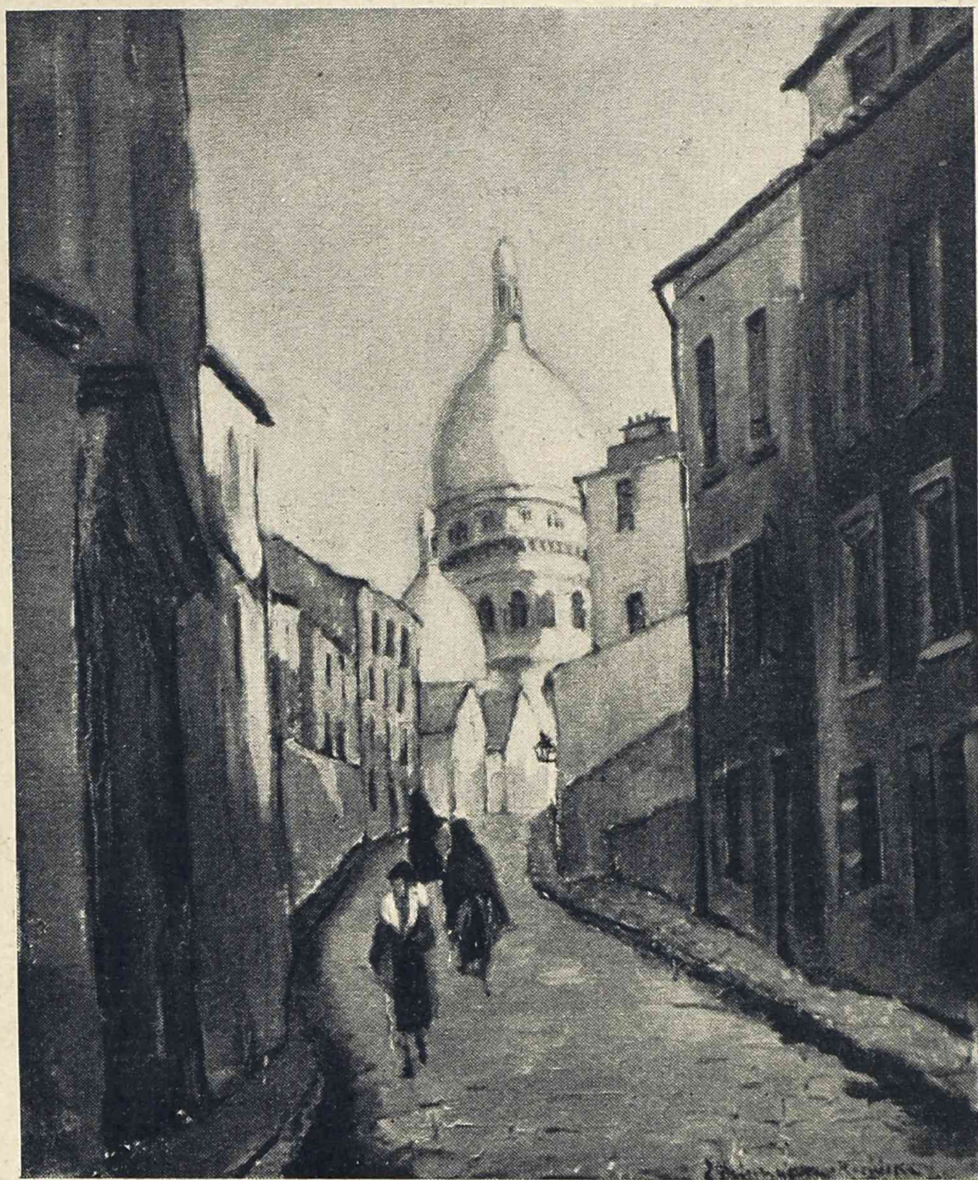
— Eh, jakże można brać pieniądze od młodzieży, co zwiedza swój kraj?

A zdrowie dopisywało — Boże! Pani Górska powierza jedynaka, obawiając się dlań zaziębienia, a Wacio na bosaka hasa po deszczu

SALON SZTUKI POLSKIEJ W PARYŻU

P. Gąsowska otworzyła w Paryżu przy Avenue Montaigne, tuż obok Champs-Elysés, nowy salon sztuki, mający wystawiać i sprzedawać wyłącznie dzieła artystów polskich. Zainaugurowano go wystawą znanych artystów polskich, jak Boznańska, Biegas, Black etc. Obecnie wystawiono cykl obrazów „Starego Paryża" młodej artystki D. Rosieńskiej. Szczególnie zwraca uwagę zakątek Montmartre'u, oraz staroświecki plac Contrescarpe w dzielnicy łacińskiej, posiadający domy z XVI — XVIII wieku.





PLAC CONTRESCARPE — *D. Rosieńska* — ZAUŁEK NA MONTMARTRE

na zielonej łące; po dwóch tygodniach przybyło mu 4 funty wagi. Jurek Wolski poszedł na wycieczkę zaraz po tyfusie, przybyło mu 5 funtów. Lolek Chrzanowski dostał pokrzywki po poziomkach, wieczorem wszystko zniknęło...

Dzisiaj te chłopaki, pokończywszy studja, objęli katedry na wszechnicach, wysokie stanowiska w urzędach, zaznaczyli się w literaturze, sztuce, polityce, a z rozrzewnieniem wspominają te swoje młodzieńcze wyprawy, tak radosne, tak beztroskie, a jednocześnie tak pouczające i miłe.

Wszystkie ówczesne prace krajoznawcze były to poczynania jednostek nie skoordynowane i nie ujęte w pewien określony plan i program. Wprawdzie już w 1886 roku na wycieczce do przepysznego zamku w Ogrodzieńcu powziąłem myśl utworzenia jakiegoś zespołu, któryby się zajął propagandą zwiedzania kraju, lecz dopiero po upływie 20 lat myśl ta została zrealizowaną: powstało Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.

Teraz więc te odosobnione poczynania ujęło ono w swe dłonie. Wycieczki pogłębiły się i zwiększyły. Na pierwszą wycieczkę do puszczy Kampinoskiej wyruszyło w 1907 roku 400 osób na dwóch statkach parowych. Od miejsca wylądowania pod Gniewkowicami było jeszcze ze dwa kilometry piaszczystej drogi do straju puszczy.

— La Boga! Co się ta dzieje w tej Warsiawie, kiedy państwo tak ucieka do lasów! — mówiła ze współczuciem jedna gospodyni do drugiej.

Poszły potem wycieczki do Żelazowej Woli, Czerska, Sulejowa, Opinogóry, Płocka i tylu, tylu czarownych zakątków naszej ziemi. Ruszono i dalej aż po Kijów, Kamieniec Podolski, Odesę, na pola Cecory, gdzie tylko placówka polska istniała. Szli dorośli, młodzież, dzieci, szli traktem Napoleońskim, i nad Świteź, i do jezior Trockich, i nad błękitną taflę Wigier, a liczba tych wędrowców rosła do setek tysięcy.

Wycieczki te nizały serdeczne, przyjazne związki pomiędzy ludźmi i pomiędzy przeszłością, teraźniejszością a przyszłością. Wrastali ludzie duchem swoim w ziemię polską, w jej krwawy znój i w jej momenty potęgi i chwały. Uczono się cenić piękno tej ziemi, a zdumiewano się nad niem. Bratali się ludzie różnego wieku, różnego stanu i różnych przekonań, bo czuli wszyscy, że ta ziemia jest jednaką dla wszystkich matką, chłodna woda Wisły jednako orzeźwia każdego, a lipa przydrożna nie uchyla swego cienia od jednych, by go dać innym. Uczono się cenić chłopa i robotnika, co swym ciężkim trudem wykuwali przyszłość narodu i rzucali posiew pod lepsze jutro dla niego.

Otwierały się oczy na czar ziemi, a serca do jej ukochania. Ćwierć wieku Polskie Towarzystwo Krajoznawcze służyło wiernie tej swej idei, służy jej i obecnie, a łańcuch wspomnień wydłuża się o coraz nowe ogniwa.

Al. Janowski



Dzień w Bibljotece Krasińskich

Za parę minut dziewiąta. Pan Antoni Kwiatkowski, woźny bibljoteki, otwiera ciężkie drzwi i żelazną kratę, a potem bacznem okiem zagląda w każdy kąt, sprawdzając, czy wszystko na swojem miejscu. Przez dach z mlecznego szkła wiosenne słońce rzuca świetlane glorje na zblakłe sztandary, porwane mundury, stalowe zbroje i kolczugi — pamiątki z dni bezpowrotnej chwały. Czasami dotknie purpurowych, zda się wiecznie żywych ust, pani Zygmuntowej Krasińskiej na wspaniałym portrecie Winterhaltera.

Dzień w bibljotece zaczęty. Co chwila, cicho zamykają się drzwi za studentem, historykiem, literatem czy kimś innym, kto się garnie do książek. Po chwili zjawia się sam ordynat Edward hr. Krasiński. Drepce z kąta w kąt, wita uśmiechem wchodzącą młodzież, przystanie przed jakimś obrazem, strzepnie niewidzialny pył z ryngrafu i tkliwem spojrzeniem pieści swoje dzieło. Bo ma też czego być dumnym!

W samem centrum miasta, a zarazem w cichym zakątku, gdzie nie szwendają się tramwaje, nie skrzeczą samochody i nie męczą oczu neonowe reklamy, na Okólniku, własnym sumptem, bez niczyjej pomocy wystawił gmach wspaniały, nazywający się oficjalnie „Bibljoteką i muzeum Ordynacji Krasińskich". Zabytki kultury i sztuki, po przodkach dziedziczone, z różnych zakątków kraju gromadzone, zebrał tu razem, by o chwale ojczyzny i rodu świadczyły, by liczne pokolenia z kart ksiąg bezcennych i druków mądrość czerpały.



OD LEWEJ KU PRAWEJ SIEDZĄ: DYREKTOR BIBLJOTEKI DR. JAN MUSZKOWSKI, ALEKS. STOKOWSKA, ORDYNAT EDWARD HR. KRASIŃSKI, M. LESZCZYŃSKA, J. PŁOSKA. STOI PERSONEL TECHNICZNY: ANT. KWIATKOWSKI, W. ZIAJOWSKI, MICH. GRĘDZIK Fot. Marjan Fuks

Niestety, Warszawa więcej wie o rezydencjach Al Capone'a i pałacach gwiazd filmowych, aniżeli o tej pięknej, jedynej w swoim rodzaju bibljotece. Natomiast zna ją doskonale ta część młodzieży, która zdobywanie wiedzy nad swary partyjne przełożyła, znają drogę do niej ci wszyscy, którzy ukochali książkę.

To też codzień tu pełno, chociaż niema gwaru i wrzawy. Bo w każdej bibljotece — jest coś z kościoła. Przybysz mimowoli scisza głos i stara się stąpać na palcach, jakby korząc się przed obliczem niezgłębionej, tajemniczej wiedzy. Wobec tych skarbów sztuki i wiekowych foljałów każdy się czuje mały, maleńki.

Z jasnego hallu szerokie schody prowadzą do widnej, dużej czytelni, urządzonej z luksusową prostotą. Dokoła ścian, w dębowych szafach, zgromadzono wszystko, co studjującemu może być potrzebne. Słowniki, encyklopedje, podręczniki, atlasy. Tylko rękę wyciągnąć, by znaleść informację. Urządzenie sali, wygoda, zapewnienie odpowiedniej ilości światła — może być wzorem dla wszystkich naszych największych bibljotek. Tu króluje poważny pan Wiktor Ziajowski, znosząc księgi i ogarniając pochylone głowy uśmiechniętem spojrzeniem. Trzydzieści siedem lat przeżył z książkami, zna z wyglądu niemal wszystkie. To też szybko dostarcza je z ośmiopiętrowej oficyny, w której księgozbiór Krasińskich spoczywa na żelaznych półkach.

Codziennie mury bibljoteki goszczą 50—60 osób. Na pierwszem miejscu studenci, dalej nauczyciele, literaci, dziennikarze, jednostki poświęcające się pracy naukowej i inni. Bibljoteka jest bowiem przeznaczona dla samodzielnych badaczy, dla osób prowadzących studja w ściśle określonym kierunku. Gdy zajrzeć do szczegółowych statystyk, okazuje się, że najwięcej zainteresowań budzi historja Polski i powszechna oraz literatura polska.

Właściwym założycielem bibljoteki był gen. Wincenty Krasiński, ustanawiając w



ORDYNAT ED. HR. KRASIŃSKI PRZY PRACY
Fot. Marjan Fuks

r. 1844 w statucie ordynacji „Bibljotekę Ordynacji Krasińskich", na którą złożyły się liczne zbiory, znajdujące się w rękach rodziny i rozsypane po całym kraju, a głównie bibljoteka dziada żony — Tomasza Czapskiego. Następnie Konstanty Świdziński zapisał wspaniałe zbiory margrabiemu Wielopolskiemu, który po długotrwałych sporach i procesie zrzekł się zapisu, a księgozbiorem, jak również dziełami sztuki, zainteresował się Ludwik Krasiński z Krasnego, opiekun nieletniego syna poety Władysława, pragnąc przyłączyć je do ordynacji Krasińskich, co też w 1860 r. zostało uskutecznione, przyczem w układzie zaznaczono, aby reprezentanci rodu „zbiory te w całości w Warszawie utrzymując, nie tamowali uczonym badaczom możności korzystania z takowych".

Zbiory Świdzińskiego, niestety, przeszły do ordynacji znacznie uszczuplone. Księgozbiór krakowski został poważnie uszkodzony podczas pożaru, poznański rozgrabiło żołdactwo w Rogalinie, część pozostała w Chrobrzu, pomieszana z bibljoteką Myszkowskich, nie przechowała się również w całości partja złożona w Falentach u Aleksandra Przezdzieckiego. Ostatecznie księgozbiór składał się z 21,912 dzieł w 25,317 tomach i 1,031 rękopisów.

Przez szereg lat opiekują się bibljoteką i zbiorami przedstawiciele rodu Krasińskich: Władysław, Adam, Józef, a wreszcie Edward, fundator i budowniczy obecnego gmachu. Pierwszym jego czynem była troska, aby bezcenny księgozbiór miał „własny dach nad głową". Dotychczas bowiem bibljoteka mieściła się w niewygodnej oficynie pałacu Czapskich, przy obecnej ulicy Trauguta. Pałac ten, zresztą, drogą sukcesji przeszedł w inne ręce.

Ordynat Edward Krasiński postanowił raz na zawsze uniezależnić siedzibę bibljoteki. Sprzedawszy majątek Radziejowice, kupił w r. 1910 na Okólniku plac po dawnym maneżu Marji Wodzińskiej, powierzając budowę gmachu architektom Juljuszowi Nagórskiemu i Henrykowi Gayowi. Dnia 10 grudnia 1912 r., w setną rocznicę urodzin autora „Nieboskiej komedji", uroczyście poświęcono kamień węgielny i przystąpiono do budowy żelazo-betonowych magazynów, aby jaknajprędzej umieścić książki w bezpiecznem miejscu. W niespełna rok magazyn był ukończony, na początku zaś roku 1914 otworzono prowizoryczną czytelnię. Jak dalece potrzebna była bibljoteka, świadczy najlepiej fakt, że przez kilka lat w ciasnej tej i niedość widnej salce pracowało po trzy tysiące osób rocznie. Przychodzi wojna. Mimo szalonych trudności finansowych, gdyż, jak już zaznaczyliśmy, cała budowa gmachu, działalność bibljoteki, opieka nad zbiorami opłacane były wyłącznie z osobistych funduszów ordynata Edwarda Krasińskiego, chwalebnego dzieła nie zaniechano, jedynie na jakiś czas przerwano wykończenie gmachu. Bolszewicy, niszcząc główne źródło dochodów — Opinogórę, zadali potężny cios instytucji.

W smutnych tych okresach nie zawodzi wprawdzie ofiarność publiczna, lecz dotyczy ona wyłącznie zbiorów i bibljoteki, których rozmiary, dzięki darowiznom i zapisom, powiększają się. Troskę o finansową stronę dźwiga na swych barkach hr. Krasiński i tylko jego samozaparcie i żelazna wola sprawiły, że w r.1928 podjęto wykończenie gmachu, urządzając go z rozumnym komfortem i czyniąc wzorem nowoczesnej bibljoteki. Wreszcie 2 grudnia 1930 r. otwarto go, oddając pokoleniom.

Jego twórca, prawdziwe wcielenie ibsenowskiej maksymy „Najsilniejszy jest człowiek, który stoi sam", ordynat Krasiński, dokończył dzieła, któremu poświęcił 19 lat życia. Poświęcił też i osobisty majątek, lecz o tem mówić nie lubi. Zajrzyjmy jednak do sprawozdań: 403,000 rb. i 257.000 zł. Sumy wprost zawrotne, w czasach tak ciężkich, w czasach drożyzny pieniądza i powszechnego kryzysu. Oddany umiłowanej idei, zrośnięty niemal organicznie z bibljoteką i zbiorami, w krótkim, lapidarnym raporcie, wyrytym na marmurowej tablicy nad wejściem do czytelni, złożył rachunek ze swego dzieła.

Gdy mowa o bibljotece, na którą składa się obecnie 1,755 druków z XV i XXI wieku, 86,292 dzieł w przeszło dwustu pięćdziesięciu tysiącach tomów, 809 atlasów, map i planów, 5815 rekopisów i 670 dyplomów, należy słów kilka poświęcić bibljotekarzom. Pierwszym był powieściopisarz Władysław Chomętowski, zarazem redaktor jedynego w swoim rodzaju wydawnictwa p. t. „Bibljoteka Ordynacji Krasińskich", wychodzącego w postaci rocznika. Z kolei urząd ten piastowali Ignacy Janicki, historyk Aleksander Rembowski, prof. Józef Kallenbach, Franciszek Pułaski, Stanisław Kętrzyński, wreszcie Ignacy Baranowski, a od r. 1920 dr. Jan Muszkowski, pozostający na tem stanowisku, z wielkim dla bibljoteki pożytkiem, aż do dnia dzisiejszego.

Zasługą jego jest przedewszystkiem zaprowadzenie z własnej inwencji nowoczesnych metod bibljotechnicznych, jak katalogowanie, inwentaryzacja, ustawianie i konserwacja rękopisów, oraz druków, a nadewszystko, jaknajwiększe uprzystępnienie zbiorów do użytku czytelników i zamiejscowych instytucji naukowych. Jest on równocześnie doskonałym wychowawcą urzędników bibljotecznych i krzewicielem bibljofilstwa.

Obok twórcy gmachu, ordynata Krasińskiego i dyrektora Muszkowskiego, pracują od lat kilkunastu z zamiłowaniem i oddaniem się pięknej sprawie pp. Aleksandra Stokowska, Marja Hornowska, Janina Płoska, Marja Leszczyńska, Wiktor Ziajowski, Michał Grędzik i Antoni Kwiatkowski.

Codziennie od 9 rano do 2-ej popołudniu, a ponadto w dnie nieparzyste tygodnia od 4-ej do 8-ej wieczorem otwierają się solidne dębowe drzwi, zapraszając do miłego wnętrza tych wszystkich, którzy są wiedzy spragnieni. Szeleszczą karty ksiąg, skrzypią ołówki i wieczne pióra, chylą się młode, a często i siwizną przyprószone głowy.

Drepce z kąta w kąt Ordynat, uśmiecha się do wchodzących, wita ich jak swoich przyjaciół. W zacisznym gabinecie pochyla się nad starym druhem dyr. Muszkowski, a zacny pan Ziajowski, znosi i znosi księgi, oddając je w spragnione ręce.

— Nie ma pan pojęcia...—mówi Ordynat — jak ja się cieszę, gdy widzę, że w dzisiejszych czasach chamstwa, nieuczciwości, materjalizmu są jeszcze tacy, którzy się chcą uczyć... Uczą się!... To rozkosz prawdziwa patrzeć na tych studentów i studentki, którzy tu codziennie przychodzą... Czy nie warto takiemu celowi poświęcić wszystkich wysiłków życia?...

I Ordynat — odbiega myślą daleko... Jestem przekonany, że w tej chwili oblicza wpływy, raty, należności i kombinuje, ile w najbliższej przyszłości będzie mógł znowu włożyć w ukochane swoje dzieło, które wieki przetrwa i chlubą kultury polskiej zostanie...

Jan Sokolicz Wroczyński.



CZYTELNIK POGRĄŻONY W LEKTURZE
Fot. Marjan Fuks

GUSTAW OLECHOWSKI



z kraju bobra i klonu

5)

(WRAŻENIA Z KANADY)

Odkryta w 40 lat po Kolumbie przez Francuzów, należała Kanada do nich aż do 1713 roku, kiedy pokój w Utrechcie oddał Anglji klucze do przedpokoju Kanady — Akadji z jednej strony, a zatoki Hudsona — z drugiej. Wojska angielskie pod dowództwem Wolfe'a wkraczały coraz głębiej i w roku 1761 skończyło się tu panowanie Francji.

Rewolucja Francuska wykopała przepaść pomiędzy dawną macierzą a nową Francją Kanadyjską, to też Francuzi tutejsi są takimi, jakimi byliby ich rodacy z nad Sekwany i Loary, gdyby Francuska Rewolucja nigdy nie była wybuchła. Rewolucja była bardzo niepopularna w Kanadzie; biskup Plessis z Quebec'u mówił: „Dzięki Bogu, nasza kolonja jest angielska". I od tego czasu datuje się patrjotyzm francusko - kanadyjski.

Poważne najście Anglików na Kanadę zaczęło się dopiero po oderwaniu się Stanów Zjednoczonych od Anglji. Lojalni anglicy, oburzeni na rewoltę, przenosili się gremjalnie do Kanady. Wówczas Kanada na dobre zaczęła się stawać dwujęzyczną kolonją angielską. Rok 1812 był jeszcze widownią zażartych walk angielsko-amerykańskich, a od roku 1815 zaczęła Anglja planową emigrację do Kanady, na którą rzucili się jednak przeważnie Szkoci i Irlandczycy, do dziś stanowiąc tu element główny, wyodrębniający się bądź w życiu religijnem, bądź w prywatnem i klubowem.

Początkowo pomiędzy elementem angielskim a francuskim były poważne tarcia, szczególniej ostre w 1837 roku, lecz już w 1867 roku nastąpiło zbratanie, konfederacja, konstytucja kanadyjska. Podzielono Kanadę na prowincje o bardzo szerokiej autonomji i wówczas zaczęły się rekordy zdobywania dobrobytu, trwające ciągle i zapowiadające świetną przyszłość temu olbrzymiemu krajowi.

* * *

Jadąc do Montrealu, zwiedzamy wagony i konstatujemy komfort. Komfortem anglosasi nazywają nie to, co my. Dla nas komfort jest niemal równoznaczny ze zbytkiem. Zbytek — to wyraz czysto polski, komfort — obcy. W Polsce łatwiej o zbytek, niż o komfort. Zbytek — to rzecz zbyteczna, komfort — konieczna. Na kontynencie amerykańskim zbytek jest źle widziany, komfort jest — przedmiotem, o ile się tak wyrazić można, pierwszej potrzeby.

Komfort dla tutejszego mieszkańca jest właściwie zwykłą inwestycją, konieczną, by utrzymać na wysokim poziomie kapitał swego zdrowia, humoru i czasu. Zdrowie, humor i czas — to trzy potęgi, które wytwarzają siłę społeczeństw północno - amerykańskich. Amerykanin oblicza sobie, że jeżeli w mieszkaniu zamiast jednego kontaktu światła będzie miał w każdym pokoju tyle, ile ma drzwi, czyli, że opuszczając pokój nie będzie potrzebował cofać się dla zgaszenia światła, — to w ciągu całego życia zaoszczędzi 39 godzin, to znaczy normalny tydzień pracy, co licząc po sto dolarów tygodniowo zarobku, da mu oszczędności właśnie taką sumę. Ponieważ instalacja dodatkowych kontaktów będzie go kosztowała 12 dolarów, więc ten komfort przyniesie 88 dolarów czystego zysku.

Rozumując w ten sposób konsekwentnie i na każdym kroku, a rozumowanie to stało się automatycznem, weszło w instynkt i nie wymaga żadnego wysiłku ani czasu na konstrukcję, wprowadził on komfort, udostępnił go i zdemokratyzował do granic w Europie nieznanych. Dlatego naprz. w zamożniejszym nieco domu są już dwie, a nawet trzy łazienki, bo gdy jest w domu kilka osób, jadących rano do biura i do szkoły, to czekanie kolejki powodowałoby stratę czasu.

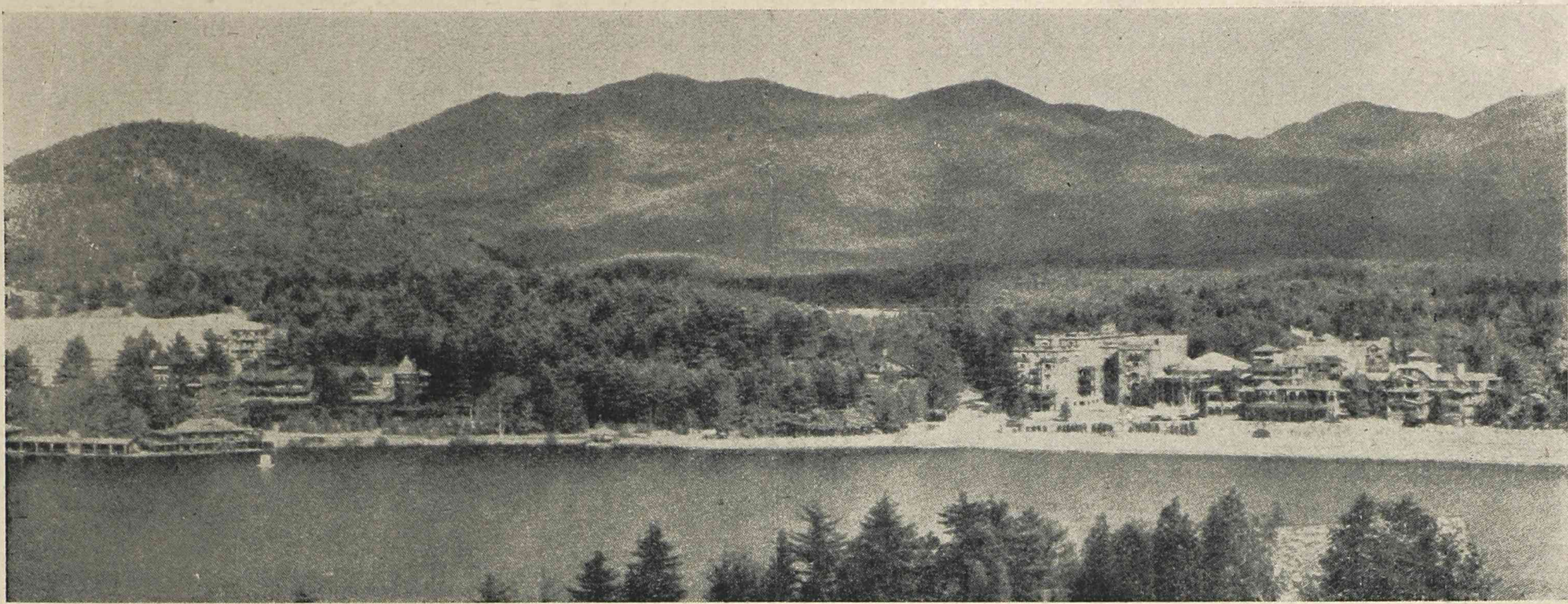
Konsekwentnie przeprowadzona zasada wygody, czyli komfortu, jest więc kalkulacją handlową, czasem kapitalizującą się fantastycznie.

Oszczędzać pieniądz jest rzeczą dobrą, ale oszczędzać czas i fatygę jest znacznie lepszym interesem.

Obserwując publiczność w wagonach, mam możność stwierdzić wiele jej zalet. Ludzie są tu spokojni i opanowani, nie czynią harmidru, nie biegają bez celu, nie spieszą się, nie szukają nie wiedzieć czego, siedzą rozmawiając półgłosem, lub czytają dzienniki i magazyny. Nie pozują, nie pchają się, nie mają pretensji do sąsiadów, że ci istnieją, nie wszczynają kłótni. Gdy ktoś komuś wypadkiem nadepnie na nogę, obydwaj się przepraszają i obydwaj uśmiechają. Nie czuje się w atmosferze nienawiści powszechnej, jak w niektórych krajach Europy.

Trzeba przyznać, że w przyjemnem urządzaniu sobie życia prym trzymają anglosasi. Takie naprz. instytucje, jak wiejskie kluby. Poznałem ich w Kanadzie kilka.

Gdzieś w górach, nad jeziorem lub nad rzeką, w malowniczem zawsze położeniu, samotnie, w ciszy, na terenie co najmniej paruset morgowym tworzy się realnie takie marzenie: świetny hotel, naturalnie tylko dla członków klubu i ich gości. W hotelu jest wszystko, czego można zapragnąć. Olbrzymia czytelnia, kompletna bibljoteka, salony z wiecznie płonącemi kominkami, kawiarnia, bar, restauracja, werandy, sklep z artykułami turystycznemi i sportowemi, kaplica, sala do tańca, kinematograf. Cały ten teren jest przysposobiony do wszelkich sportów: golf, polo, tennis, hockey, wioślarstwo, konna jazda, ślizgawka. Służba i kuchnia doskonałe. Cisza, jak w Morskiem Oku, spokój, odpoczynek zupełny. Tu się przyjeżdża w każdym sezonie na weekend, na parę dni, a w pełnym se-



TAK WYGLĄDA KLUB WIEJSKI W LAKE PLACID

zonie zimowym lub letnim na parę tygodni. Istnieją takie kluby na różne kieszenie: zamożne, bardzo zamożne i bogate. W tych ostatnich utrzymują własne orkiestry symfoniczne. W jednym z nich, w Lake Placid Club miałem przyjemność poznania w dyrektorze orkiestry rodaka, p. Teodorowicza, brata arcybiskupa, w górach Adirondax, w Aleganach!...

Takie instytucje restaurowania nerwów, zdrowia, energji tworzy 400—500 członków klubu, wpłacając pewną sumę à fond perdu, jako akcje klubu, opłacając składki, no i, oczywiście, koszty pobytu. Niektóre z tych klubów dają nawet dywidendę.

Coprawda, im to łatwo. Kanada posiada 603 obywateli, z których każdy ma ponad 50.000 dolarów rocznego dochodu. Ma kto kluby utrzymywać.

Komfort w życiu połączono tu z wielką praktycznością.

Naprz. jadłodajnie, zwane „kafeterjami", gdzie niema wcale usługi! Co za rozkosz! Niema panów kelnerów, udekorowanych żetonami, dyskutujących o zmianie konstytucji, gdy gościowi się spieszy, niema czekania na potrawy i rachunek.

Nie trzeba sobie wyobrażać, by to było coś podobnego do niemieckich automatów, gdzie w jedną dziurkę wpuszcza się uczciwy nikiel, a z drugiej wyjeżdża stara kanapka.

Nic podobnego. Jest to zwykła restauracja, ogromna, czyściutka, świetnie wentylowana. Naokoło ścian bufet, za którym stoją kucharze. Na bufecie ruszty oraz gotowe zimne potrawy. Wzdłuż całego bufetu biegnie rama miedziana, za którą się wchodzi i staje przed stosem tac, noży, widelców i łyżek. Bierzesz sobie tacę i co ci potrzeba, stawiasz ją przed sobą na rodzaju pomostu, ustawionego również wzdłuż całego bufetu, byś nie potrzebował dźwigać, i posuwasz się zwolna za innymi, wybierając wedle gustu i ustawiając na tacy, od chleba do kawy, cały obiad. Gdyś doszedł do końca, wita cię uprzejma kasjerka, która obliczyła, co się od ciebie należy, jednem rzutem oka, wprzód, nim zdążyłeś zauważyć, że ma bardzo ładną cerę. I już ci wydaje reszty z banknotu, którego wartość zauważyła, gdy tylko wysunąłeś jego rąbek z portfelu. Zabierasz sobie tacę, siadasz przy stoliku i spożywasz spokojnie. Czas — 15 — 20 minut.

Praktyczność tutejszych ludzi idzie czasem zbyt daleko i wpada w komizm. Tak naprz. amerykanin doszedł do przekonania, że człowiek, który wszedł do składu aptecznego, by sobie kupić płyn na porost włosów, może się chcieć także ogolić, kupić ostatnią powieść Wallace'a, paczkę papierosów, przekąsić coś i spisać akt notarjalny. Dlaczegóżby więc notarjusz nie miał mieć składu aptecznego z bufetem, księgarnią, kioskiem tabacznym i fryzjernią w tym samym lokalu?

Zdarzyć się może, że właściciel takiego businessu, a jest ich legjon, pełni obowiązki pastora jednego z 40 protestanckich wyznań, zalegalizowanych w Kanadzie.

A co to komu szkodzi.

Tylko, że człowiek, który chciał spisać testament, a potem się powiesić, wychodzi ogolony, z książką, cygarem i najedzony. Rozumie się, że dopóki nie przeczyta powieści Wallace'a, będzie żył. Powiesi się napewno po jej przeczytaniu.

(D. c. n.).

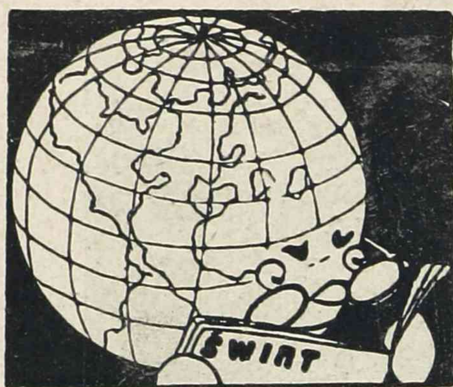
Uczony krakowski, nagrodzony w Warszawie

Tegoroczna nagroda naukowa Warszawy przyznana została profesorowi uniwersytetu Jagielońskiego, dr. Emilowi Godlewskiemu. Laureat należy do najwybitniejszych naszych uczonych, będąc zarazem doskonałym pedagogiem i wychowawcą młodzieży. Syn lekarza, również profesora krakowskiej Wszechnicy, poświęcił się karjerze naukowej i przed laty blisko trzydziestu został docentem biologji i embrjologji na uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie rozpoczął swoje badania nad istotą powstawania życia; wyniki tych prac wkrótce zyskały mu rozgłos w świecie naukowym.



DR. EMIL GODLEWSKI

W pierwszych latach niepodległości życie polityczne oderwało go chwilowo od pracy naukowej. Prof. Godlewski przez pewien czas piastował tekę ministra zdrowia. Jednakże polityka nie odpowiadała jego zainteresowaniom, to też wkrótce powrócił do pracy naukowej.



TYDZIEŃ ŚWIATA

(V.). Wzrost hitleryzmu w Niemczech ponownie zamanifestował się podczas wyborów do 5 sejmów krajowych. W Prusach ilość mandatów socjal - nacjonalistów skoczyła z 7 na 162, w Bawarji — z 9 na 43, w Wirtembergji z 1 na 23, w Anhalcie — z 1 na 15, w Hamburgu — z 43 na 51 (poprzednie wybory odbywały się tu przed półrokiem). Wszędzie więc wielkie zwycięstwo, w Prusach zaś, decydujących o polityce całych Niemiec, — największe.

Hitlerowcy pochłonęli tam przedewszystkiem głosy dotychczasowych drobnych partji prawicowych: niemieckim narodowcom Hugenberga odebrali 40 mandatów, Niem. Partji Ludowej — 39, Partji Gospodarczej — 16, rolnikom — 20; pozostałą ilość, t. j. półsetki, zdobyli na bloku rządowym, na „Centrolewie" niemieckim. Z wchodzących w jego skład stronnictw socjalni demokraci stracili najwięcej — 44 mandatów. Partja Państwowa 20, Centrum — 4. Poza hitlerowcami, jedynie komuniści wyszli z wyborów z zyskiem: zamiast 48 mają 57 posłów.

Wzmocnienie obu skrajnych skrzydeł i osłabienie środka decydująco wpłynie na kierunek rządów w Prusach. Dotychczasowa większość, złożona z socjalnych demokratów, centrowców i Partji Państwowej, rozporządza obecnie zaledwie 162 głosami w sejmie. Dotychczasowa opozycja prawicowa liczyć będzie: 162 hitlerowców, 31 hugenberczyków i 4 innych — razem 197 głosów. Ponieważ sejm składać się ma z 422 posłów, ani jeden obóz, ani drugi nie osiągnie absolutnej większości. Centrolew nie ma co o tem nawet marzyć, natomiast połączonej prawicy zbraknie zaledwie kilkunastu głosów, które może zyskać przez sojusz z Centrum lub oderwanie od niego prawego skrzydła; może też, nie rozporządzając arytmetyczną większością, liczyć na abstynencję i pobłażliwość niektórych przeciwników.

Zagarnięcie rządów w Prusach przez Hitlera musi oddziałać na politykę wewnętrzną i zagraniczną Rzeszy. Stanie ona pod znakiem swastyki.

Wie już o tem Francja, która idzie do urny wyborczej dn. 1 maja i liczy się z faktem, że za kontrahenta będzie miała Niemcy hitlerowskie. Jak na to zareaguje wyborca francuski — wkrótce zobaczymy.

. . . .

(Old.). Przed miesiącem P. Prezydent Rzeczypospolitej zaprosił do Spały czterech premjerów, urzędujących po wypadkach majowych: prof. K. Bartla, marszałka K. Świtalskiego, prezesa W. Sławka i aktualnego premjera A. Prystora. Marszałek Piłsudski nie wziął udziału w naradzie, gdyż bawił w Egipcie.

Gdy się rozniosła wiadomość o uczestniczeniu w konferencji spalskiej prof. Bartla, opinja publiczna żywo się tem zainteresowała.

W tych dniach P. Prezydent po raz drugi zwołał te same osoby. Marszałek Piłsudski w posiedzeniu na Zamku nie uczestniczył.

Gdy się o tem dowiedziano, przestano przypisywać zebraniom premjerów wielką wagę.

. . . .



MARSZAŁEK J. PIŁSUDSKI PO POWROCIE Z EGIPTU

(Wig.). W sali posiedzeń Senatu odbył się zjazd przedstawicieli Izb przemysłowo-handlowych, rolniczych i rzemieślniczych, reprezentujących nasz samorząd gospodarczy. Zaszczycił go obecnością P. Prezydent Rzeczypospolitej, który przy tej okazji poraz pierwszy odwiedził gmach parlamentu, byli też obecni niemal wszyscy ministrowie, obaj marszałkowie Izb prawodawczych, prezesi banków państwowych i t. d., co najlepiej świadczy o wadze, jaką przykładano w sferach rządowych do obrad zjazdu.

Złożyły się na nie liczne a fachowe referaty, gruntownie uzasadniające zgłaszane wnioski. Dyskusji, we właściwem znaczeniu wolnej wymiany zdań, nie było. Wszystkie tezy zostały zgóry przygotowane i uzgodnione, wykluczając możność jakichkolwiek niespodzianek.

To też powzięte uchwały można uważać za wyraz istotnych poglądów sfer gospodarczych, pozbawiony wszelkiego elementu przypadkowości. Świadczą one, że sfery te niezachwianie stoją na gruncie liberalizmu ekonomicznego, odrzucając wszelkie nowinkarstwo w dziedzinie ustrojowo-gospodarczej i w polityce ekonomicznej. Więc rezolucja prof. Krzyżanowskiego stwierdza, że „jedynie ustrój oparty o zasadę własności prywatnej jest w stanie zabezpieczyć państwu mocarstwowe stanowisko", rezolucja dyr. Wieniawskiego domaga się ograniczenia dalszego angażowania się państwa w nowych przedsiębiorstwach przemysłowych, rezolucja dyr. Fajansa wypowiada się kategorycznie przeciwko „poczynaniom inflacyjnym, zgubnym dla gospodarstwa narodowego"; w innych referatach wysunięto potrzebę reformy podatkowej, zmniejszenia obciążeń socjalnych, odpolitycznienia samorządu terytorjalnego, zmiany polityki celnej i traktatowej etc.

Ideologja zjazdu wyraziła się najdobitniej w przemówieniu generalnego referenta, b. ministra Klarnera: „Pragniemy nawrotu z błędnych dróg i ustabilizowania naszej pracy gospodarczej na linji ewolucyjnego rozwoju w ramach ustroju kapitalistycznego, w warunkach nieskrępowanej inicjatywy indywidualnej i zbiorowej".

Ta wierność klasycznej ekonomji z pewnością nie podoba się poszukiwaczom nowych form i środków; ale ma ona zaletę trzymania się znanego i stałego gruntu.

. . . .

NA TERENIE WALK CHIŃSKO-JAPOŃSKICH

Uliczna rewizja na przedmieściu Szanghaju: Sprawdzanie, czy w kapeluszach nie znajdzie się jakiś dowód winy przechodnia

Bandyta—chińczyk, aresztowany na gorącym uczynku, transportowany ze związanemi rękami i nogami, na miejsce kaźni przez japońskich policjantów

(L.). Prasa codzienna notuje niekiedy wypadki sądowych eksmisji z mieszkań. Dostaje się też z tej racji kamienicznikom. Posłuchajmy jednak, co pisze „Miasto polskie", organ związku właścicieli nieruchomości, na temat prawa z d. 1 kwietnia r. b., zawieszającego możność dochodzenia należności od lokatorów małych mieszkań. Dotyczy to wprawdzie drobnych kamieniczników, ale jest bardzo charakterystyczne:

„Coraz więcej mnożą się wśród drobnych właścicieli nieruchomości odruchy rozpaczy, coraz częściej słyszeć się dają głosy: Poco mi własność, z której nietylko żadnej nie mam korzyści, ale która jest mi źródłem udręki? Poco mam być stróżem, administratorem i inkasentem bez żadnego celu? Za co mam ponosić odpowiedzialność? Jaki sens posiada podobna własność? Zabierzcie rzecz, która straciła dla mnie wszelką wartość — i uwolnijcie mnie od trosk, kłopotów, zgryzot, darmowej pracy i odpowiedzialności!"

Słusznie przytem podnosi to pismo: Skoro ogłoszono moratorjum na płacenie czynszów, należało również opublikować moratorjum płacenia podatków od domów.

. . . .

(skrz.). Od wielu lat już „Zachętę" trawią wewnętrzne fermenty. Młodsze żywioły artystyczne tak długo buntowały się przeciw gospodarce „miłośników" i starego szablonu, że wkońcu, widząc bezskuteczność swych wystąpień, odeszły od upartej macierzy. Zgrupowały się naprzód koło Szkoły Sztuk Pięknych, ostatnio — w „Instytucie Propagandy Sztuki". To rozdwojenie jest dla „Zachęty" ciosem niepowetowanym. Nie przeczymy, że i ze strony „młodych" popełniane były błędy. Największym jednak było dopuszczenie do secesji.

„Miłośnicy", rządzący starą i zasłużoną instytucją, nie chcą przyznać się do klęski. Trwają dalej w sennej rutynie. Teraz znów grupa młodszych żywiołów próbowała wprowadzić swoich przedstawicieli do komitetu, — ludzi, odczuwających żywiej nowe prądy, nowe usiłowania. W tych zamierzeniach nie było cienia „rewolucyjności", przeciwnie, jak najlepsza wola. Wystąpienie spotkało się ze stanowczym, nieugiętym uporem dotychczasowych kierowników. Nie chcą dopuścić „nowatorów", chcą wszelkiemi siłami wyłącznie sami utrzymać ster w rękach. „Zachęcie" grozi ponowna secesja.

Sprawa zaczyna się gmatwać. „Zachęta" nie jest własnością pewnej grupy „miłośników" i artystów starszej daty. Jest własnością całego narodu. W kraju, w którym puls życia artystycznego jest tak słaby, jak u nas, ciągłe rozdrabnianie wysiłków, rosnące dzielenie się na coraz to nowe zrzeszenia anemizuje je jeszcze silniej. Należałoby raczej podjąć energiczną akcję celem łączenia tych wysiłków, wytwarzania wspólnego frontu w stosunku do obojętności społeczeństwa i rządu.

„Gazeta Warszawska", organ poważny i zrównoważony, zapytuje słusznie, czy stałe odrzucanie poza obręb murów „Zachęty" talentów młodych i wybitnych może wyjść na pożytek tej instytucji...

. . . .

(A.). Przeciw szkołom akademickim, właściwie przeciw autonomji tych wyższych uczelni odzywały się ostatnio na łamach naszej prasy liczne głosy. Nie omieszkano poddać krytyce i pracę profesorów. Zrobiono nawet uogólnienie, zamykające się w zdaniu, iż „produkcja naukowa naszych profesorów opiera się na pracy paru zaledwie jednostek, reszta działalność swą na polu naukowem mało zaznacza".

W kwestjach tych należy specjalnie uwydatnić opinję prof. dr. Bolesława Hryniewieckiego, b. rektora uniwersytetu warszawskiego, który w artykule p. t. „Krucjata dziecięca przeciw szkołom akademickim" napisał, co następuje:

„Szaleństwem jest w dobie wielkiego kryzysu, jaki przeżywa nauka, dążyć do przebudowy ustroju, jaki stworzyły wieki i doświadczenie innych kulturalniejszych narodów, i do burzenia tego gmachu, w którym ona tak dobrze dotąd rozwijała się! Wobec niezmiernej wagi zagadnień nauki dla państwa tego rodzaju prądy noszą wyraźnie antypaństwowy charakter".

Dyskusji w sprawie wyższych uczelni ten głos zapewne nie zamknie. Jest on jednak niewątpliwie fachowy i przynosi dużo refleksji do rozwagi.

. . . .

(H.). Egzaminy maturalne co rok powodują samobójstwa wśród młodzieży. Zawsze znajdzie się jakiś pobudliwy chłopiec, którego wytrąci z równowagi zły stopień, otrzymany, rzekomo, niesprawiedliwie. Zwykle winę takich nieopatrznych czynów przypisuje się później całkowicie szkole. Jest ciekawe, iż p. dr. M. Grzywo-Dąbrowska, badając te fakty, przychodzi do innych wniosków. Od r. 1909 do 1930 zarejestrowano w Polsce 129 wypadków samobójstw wśród młodzieży szkolnej. (107 chłopców i 22 dziewczęta). Wszystkie te wydarzenia o tragicznych następstwach miały jakoby za podłoże niezdrowe stosunki domowe. P. dr. M. Grzywo-Dąbrowska pisze:

„Procent młodocianych samobójców, należących do warstwy zamożnej, jest stosunkowo niemal trzykrotnie wyższy od procentu samobójstw o stanie materjalnym średnim i złym.

Samobójca był pozbawiony opieki rodziców w 49 wypadkach (37 proc.). W 4 wypadkach był zupełnym sierotą, w 17 nie miał ojca, w 8 nie miał matki, w 8 rodzice nie żyli razem.

Wzmożoną pobudliwość nerwową wykazywało 37 samobójców, skłonność do samotności 9. Znakomita większość, bo aż 70 wszystkich samobójstw, została popełniona z broni palnej. Najwięcej samobójstw przypada na miesiąc czerwiec, najważniejszy miesiąc w życiu szkolnem, potem idzie marzec i maj. Oba miesiące wakacyjne dają najmniejszą ilość samobójstw".

Uogólniając te uwagi, twierdzi p. Grzywo-Dąbrowska, iż „złe stosunki domowe, brak ciepła rodzinnego" w większości wypadków sprowadzały młodzież na manowce samobójstwa.

Od czwartku do czwartku

Najważniejsze wydarzenia tygodnia

Komisja ogólna Konferencji Rozbrojeniowej przyjęła rezolucję, domagającą się redukcji zbrojeń etapami, poczem rozpatrywała wniosek angielski, zakazujący używania pewnych kategorji typów broni, gdy Francja pragnie przekazać je Lidze Narodów. Przyjęto wniosek kompromisowy.

Komisja mandżurska Ligi Narodów udała się nareszcie do Mukdenu.

Premjer turecki Ismet-Pasza złożył wizytę w Moskwie, podczas której omawiano sprawę utworzenia bloku państw azjatyckich.

Marszałek Piłsudski po wizycie w Kiszynowie i Falticeni, gdzie stoi pułk, którego jest szefem, powrócił do Warszawy.

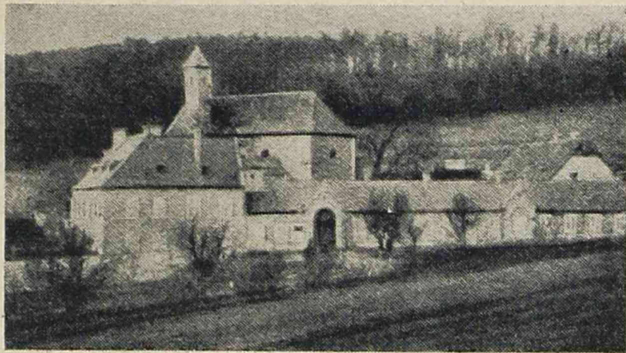
Na Łotwie powstało nowe Polskie Zjednoczenie Narodowe.

W Warszawie zredukowany buchalter Zakładów Żyrardowskich zamordował na ulicy naczeln. dyrektora tych zakładów, szwajcara G. Koehler-Badina.

Prawda o tragedji w Mayerlingu



BARONÓWNA MARJA VETSERA



ZAMEK MAYERLING



ARCYKSIĄŻĘ RUDOLF

Opowieść ostatniego świadka po czterdziestu trzech latach

W okolicach Wiednia zmarł niedawno 87-letni Johann Loschek, niegdyś kamerdyner arcyksięcia Rudolfa i ostatni człowiek, z którym następca tronu rozmawiał przed śmiercią. Zeznania, spisane przez Loscheka, nie wnoszą nowych szczegółów do tragedji w Meyerling; pisane są stylem prostym, wręcz naiwnym, bez żadnych patetycznych wynurzeń, rozmyślań. Dziwnem nawet jest u starca, który życie swoje spędził na służbie cesarskiej i pochodził z rodziny przez szereg pokoleń pełniącej obowiązki w leśnictwie Habsburgów, że wyraża się nietylko bez służalczości, ale nawet z pewną nonszalancją o swoim byłym panu, nazywając go wprost Rudolfem, bez dodawania tytułu arcyksięcia lub jego cesarskiej mości.

Wspomnienia Loscheka, podyktowane synowi na parę lat przed śmiercią, potwierdzają to, co ogólnie było znane i przyjęte za autentyczną wersję „tragedji w Meyerling".

Stary sługa opowiada, że arcyksiążę, usprawiedliwiwszy nieobecność na dworskim obiedzie bólem gardła, udał się ulubionym fiakrem Bratfiszem do zameczku myśliwskiego Meyerling pod Baden, w pobliżu Wiednia. Towarzyszyła mu siedemnastoletnia baronówna Mary Vetsera, panna z towarzystwa, ale nie dama dworu, jak ogólnie opowiadają. Ojciec jej należał do małej uszlachconej rodziny urzędniczej, matka była z domu Baltazzich, pochodzących z Grecji; swoje stanowisko w sferach arystokratycznych wiedeńskich zawdzięczali oni wyłącznie znacznej fortunie i zamiłowaniu do sportu hippicznego. Jedynym gościem, zaproszonym na polowanie do Meyerling, był hr. Hoyos.

„Zaraz wieczorem po przyjeździe — opowiada Loschek — arcyksiążę wezwał łowczego Horsteinera i odwołał polowanie, rzekomo z braku czasu. Łowczy, wyszedłszy od Rudolfa, zapytał mnie:

— Co jest właściwie z arcyksięciem? Cały czas, gdy rozmawiał ze mną, myślał o czemś innem.

Przy kolacji, którą Rudolf spożywał w towarzystwie Hoyosa, patrzył na mnie dziwnym wzrokiem. Zanim udał się do sypialni, w której oczekiwała go już Vetsera, nakazał mi stanowczo, bym nikogo do niego nie wpuszczał, choćby to był nawet sam cesarz. Spałem w pokoju obok i słyszałem, jak Rudolf i Mary noc całą rozmawiali poważnie, nie zaznawszy snu aż do rana. Słów rozróżnić nie mogłem. Dziesięć minut po szóstej wyszedł Rudolf zupełnie ubrany i kazał mi wydać rozkaz, by zaprzęgano. Zaledwie wyszedłem na podwórze, rozległy się dwa strzały. Pobiegłem z powrotem: doszedł mnie zapach prochu; próbowałem dostać się do sypialni, ale wbrew zwyczajowi arcyksięcia drzwi były zamknięte na klucz. Sprowadziłem hrabiego Hoyosa, wybiłem młotem dziurę w drzwiach i wsadziwszy rękę, przekręciłem klucz. Widok był okropny. Rudolf zupełnie ubrany leżał na swojem łóżku; baronówna, również zupełnie ubrana — na swojem. Widoczne było z pierwszego rzutu oka, że Rudolf naprzód zastrzelił kochankę, potem siebie. Padły tylko dwa celnie wymierzone strzały. O obecności trzeciej osoby, o kawałkach szkła w głowie, o pokaleczeniu sztyletem arcyksięcia przez baronównę niema co mówić. Były to bajki, wysnute z bujnej fantazji niewtajemniczonych, tak jak kursowało wiele innych bajek, które uprzędła w latach późniejszych żądza sensacji, a po części i legenda, tworząca się dokoła tajemnicy w Meyerling. Wezwałem telegraficznie przybocznego lekarza, dra Widerhofera i obu adjutantów: barona Giesla i hrabiego Rosenberga. Pozamykałem wszystko i ułożyłem ciała, każde na swojem łóżku, które nie stały obok siebie, jak łoża małżeńskie, lecz każde osobno pod ścianami. Na stoliku Rudolfa była zwykła kartka do mnie zaadresowana: „Kochany Loschek, wezwij księdza i każ nas pochować w wspólnym grobie w Heiligenkreuz. Klejnoty mojej ukochanej Mary wraz z jej listem oddaj jej matce. Dziękuję ci za wierną i pełną poświęceń służbę przez te długie lata, jakie przy mnie spędziłeś. List do mojej żony prześlij najkrótszą drogą. Rudolf."

Teraz dopiero opuściło mnie opanowanie. Ukląkłem i oparłszy głowę na ramieniu Rudolfa, gorzko płakałem. Jak długo to trwało, nie wiem; wstrząsnęło mną pukanie do drzwi. Byli to hr. Widerhofer i sekretarz, który według moich zeznań spisał protokół. Tego samego dnia przeniesiono zwłoki Rudolfa do Baden, dokąd przybyliśmy około 9 wieczorem. Lokaje wnieśli trumnę do salonki, a ja i dr. Widerhofer towarzyszyliśmy memu dobremu zmarłemu panu aż do Wiednia. Oczekiwał nas tłum niesłychany. Jechałem za karawanem aż do Burgu.

Tak prosty i pozbawiony romantyki jest dramat z Meyerlingu, który tu opowiedziałem, a o którym pisało już tyle osób niepowołanych, znających go tylko z opowiadania, lecz nie biorących w nim, tak jak ja, udziału.

Często pisano też, że wielkie sumy okupiły moje milczenie; jest to fakt zmyślony, jak tyle innych o Rudolfie. Rudolf w testamencie pomyślał o wszystkich swoich urzędnikach, a więc i ja otrzymałem 2600 guldenów, oprócz broni, ubrań etc. Jest bajką, że Loschek zbogacił się. Mały kapitalik uciułałem uczciwie z dyjet, otrzymywanych w podróżach. Jestem właściwie dumny z tego, że umieram, jako człowiek biedny.

Kleinwolkersdorf, 19.I.1928.

Johann Loschekc,

spensjonowany leibkamerdyner nieboszczyka arcyks. Rudolfa".

Tyle pisze Loschek. Wszystko to wiedziano już powszechnie i nic, ani jeden drobny szczegół nie przybył. Niema w jego zeznaniu nawet wzmianki, że z początku, gdy była nadzieja ukrycia faktu samobójstwa, przetransportowano zwłoki baronówny Vetsery z Meyerling do Heiligenkreuz powozem w pozycji siedzącej, całkowicie ubrane, niby osoba żywa. Niema autentycznych incydentów znanych skądinąd, które zaszły po odkryciu samobójstwa: jak straszne było wrażenie w Burgu, jak cesarzowa wzywała przyjaciółkę cesarza, aktorkę Kati Schratt, by jej pomogła w podtrzymaniu nieszczęśliwego ojca. Niema, że do obdukcji zwłok sprowadzono profesora anatomji patologicznej uniwersytetu wiedeńskiego Kundrata, syna innego kamerdynera cesarskiego, by podpisał fałszywy protokół o rzekomym nieszczęśliwym wypadku i że profesor kategorycznie odmówił stwierdzenia fałszu. Jak profesorowie Kundrat i Widerhofer

stwierdzili w mózgu arcyksięcia zmiany patologiczne, dowodzące niezbicie, że zaciążyło nad nim dziedzictwo po Johannie obłąkanej, królowej kastylskiej, matce cesarza Karola V, która w domy Habsburgów i Wittelsbachów wniosła chorobę umysłową.

Nie opowiada też wierny kamerdyner, że Mary Vetsera nie była jedyną miłością Rudolfa. Następca tronu znany był z tego, że miewał miłostki na wszystkie strony i sprowadzał nawet do Burgu panienki o których Francuzi powiadają: „qu'elles font le trottoir". Noc przed wyjazdem do Meyerling spędził właśnie w towarzystwie takiej damulki. Żony swej Stefanji nienawidził, a ona odpłacała mu szaloną zazdrością, dręcząc różnemi złośliwościami. Spenetrowawszy npr., że u jakiej bogdanki niewierny mąż spędza miłe chwile, udawała się na miejsce dworskim powozem, pozostawiała ekwipaż przed bramą, odjeżdżając fiakrem, dyskretnie w bocznej uliczce czekającym na arcyksięcia.

Rudolf był w Wiedniu bardzo popularny. Tak zwani liberali wiedeńscy rokowali sobie wielkie nadzieje, że gdy arcyksiążę obejmie rządy, konserwatywny kurs Franciszka Józefa dozna zupełnej zmiany. Zapominali, że niejeden liberalny następca tronu, włożywszy koronę na głowę, przekształcał się w reakcjonistę i autokratę. Tragedja w Meyerlingu nie dopuściła do rozwiania się złudzeń wiedeńczyków, osnuła natomiast samobójstwo arcyksięcia mgłami legend, których nie rozproszy szczerze opowiadanie Loscheka. Tajemnicza przyczyna dwóch śmierci pozostanie niewyjaśniona.

CO CZYTAĆ?

„BIAŁY FOLWARK", „BURZA NAD BRUKIEM", „NARODZINY CZŁOWIEKA" I „ALKOHOL".

Jerzy Kossowski, autor popularnego „Szybu", zdobył sobie czytelników i krytykę świetnym tomem opowiadań pt. „Zielona Kadra". Obecnie daje drugą część powieści o „Ceglanym domu", stanowiącą odrębną całość, choć spotykamy się z postaciami, znanemi już z tragicznych wydarzeń, plątających losy Zameyciów i Wildeckich. „Biały Folwark" snuje dalej dzieje tych dwóch sąsiadujących ze sobą rodzin ziemiańskich. Józef Zameyć opuści młodą, urodziwą żonę i znajdzie się aż w Chicago. W ten sposób mniemane przymierze, wyrosłe z przelewu krwi za niegodne oszustwo Krystyny, nie przyniesie spokoju, przebłagania losu. Krystyna pojedzie za Dukszty do stryja Ireneusza. Wśród litewskiej ciszy, pogody, gościnności obudzą się w niej pragnienia osobistego szczęścia. Wyjdzie zapewne za mąż za sąsiada Rychlickiego, jak siostra jej oddała swą rękę instruktorowi rolniczemu. Życie w „Ceglanym domu" płynie swojem korytem. „Biały folwark", opuszczony przez Józefa, musi też dać posłuch wymaganiom ziemi. Przy pomocy „Ceglanego domu" zostaną zaorane i posiane zagony.

Jerzy Kossowski delikatnie nakreślił namiętność Józefa do organiścianki, obecnie pani i również sąsiadki. Przez nią to opuszcza on żonę, syna, „Biały folwark". Powieść ta, pisana solidnie, z dużym temperamentem beletrystycznym, obudzi szersze zainteresowanie. Autor nie polueje na łatwe efekty. Potrafi snuć wątek wydarzeń zajmująco. Jest to nawet znamienne, gdyż bohaterowie „Białego folwarku", „Ceglanego domu", to przeciętni, współcześni hreczkosieje. Kossowski uwagę swoją skupia na ich zawiłych losach. Nie stara się tłomaczyć, czemu namiętności krzyżują, gmatwają ich drogi życiowe. Czyżby to był wpływ ziemi? Czy tkwi w tem niedorzeczność ich wychowania lub niedorozwój woli? Czytelnik chciałby sobie wytłomaczyć ich tragedje jakimś konkretnym, realnym czynnikiem.

Jerzy Kossowski umie wzruszyć opisami przyrody. Wogóle powieść jego posiada duże zalety literackie.

P. Michała Rusinka znamy z kilku tomów beletrystyki i zbioru wierszy p. t. „Błękitna Defilada". Obecnie ukazała się powieść p. t. „Burza nad Brukiem". Utwór ten opowiada smutne losy stróżowskiego sieroty, Piotra Ożelucha. Do ciekawszych opisów należą sceny przewrotu w r. 1918, gdy Austrja po pogromie musiała zrezygnować ze swej władzy nad Krakowem. Poza tem Piotr Ożeluch nie daje okazji do większych popisów narracyjnych. Niezwykłością w jego życiu jest spotkanie z reprezentantem pasty do obuwia, który kupuje od niego „wynalazek", haczyk do otwierania pudełek i płaci mu za to aż tysiąc złotych. Powoduje to przewrót w bezdomnej doczesności Ożelucha. Pojedzie on do Gdyni zdobywać majątek i zastosowanie dla swoich młodzieńczych sił.

W opowieści tej znajdujemy kilka drastycznych scen, mających charakteryzować psychikę nizin. Młodzi pisarze lubią takie naturalistyczne opisy. Uchodzi to za odwagę i oryginalność. Mają przytem tarczę w postaci Joyce'a.

„Burza nad Brukiem" rozwija możliwości beletrystyczne p. Michała Rusinka w stosunku do dawnych utworów, jak „Półmężczyzna" czy „Bunt w krainie maszyn".

Debiutantką jest p. Elżbieta Szemplińska. Jej „Narodziny człowieka" z podtytułem „Radosna afirmacja" w sposób niezupełnie jasny tłomaczą powód i cel tej powieści. Utwór ten opowiada raczej smutne dzieje troica dzieci, Aldy, Klei i Leszka, wychowanych przez zahukaną matkę. Ojca raczej nie należałoby brać w rachubę. Postać to jakaś histeryczna, dziwaczna. Kalikst raz nawet uciekł od swojej żony i dzieci, zostawiając ich bez środków do życia. Wogóle powieść ta mogłaby raczej uchodzić za satyrę na współczesne małżeństwo. Interesują w książce tej drobne uwagi na marginesie wydarzeń oraz opisy dziecinnych zabaw, fantazji.

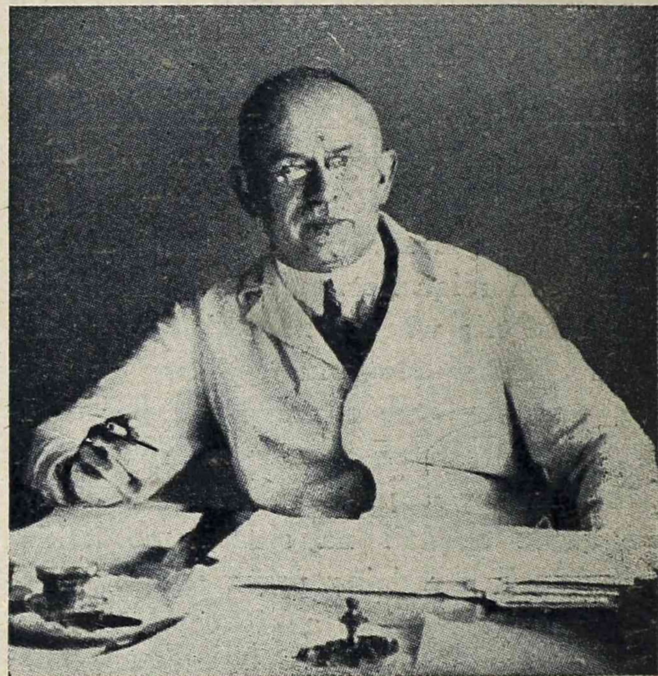
Powieść p. Elżbiety Szemplińskiej mimo usterek kompozycyjnych i stylowych można uważać za debjut udany.

„Alkohol" A. Prędskiego jest próbką beletrystyczną, młodego warszawskiego literata. Jak zwykle bywa w takich próbkach, autor nie cofa się przed „śmiałemi" seksualnemi stwierdzeniami. Cenzura skonfiskowała kilka miejsc tej analitycznej spowiedzi, co nie wpłynęło jednak na zwiększenie tempa akcji powieściowej. Gdybyśmy mieli wierzyć Klangorowi, bohaterowi tego utworu, smętnie obyczajowo wygląda nasza literatura od strony kulis. Są to jednak obserwacje, nie obejmujące całego odcinka. Utwór p. Prędskiego zaleca się dbałością o język.

E. C.

Jubileusz polonofila czeskiego

W starych murach magistratu Złotej Pragi kształtowało się wielu szermierzy zbliżenia polsko-czeskiego. Tu pracował założyciel czeskiego ruchu polonofilskiego Edward Jelinek, tu spędził znaczną część swego życia tłumacz Sienkiewicza, Wacław Kredba, tu wreszcie dotychczas przesiaduje starszy radca, inżynier Wasław Sommer, którego pięćdziesięciolecie obchodzono w ubiegłym tygodniu w Pradze. Niewielu Polaków wie, że nazwisko to nosi Jakób Rydvan, mający chlubną



WACŁAW SOMMER (JAKÓB RYDVAN)

kartę w dziejach czeskiej literatury dramatycznej. Wydał drukiem dwie sztuki, grane z powodzeniem na scenach praskich, i parę powieści. O wiele większe jednak jest znaczenie jego, jako publicysty teatralnego. Od kilkunastu lat bowiem redaguje dwutygodnik „Ceskoslovenské Divadlo" i jest sekretarzem największej organizacji teatrów amatorskich w Czechosłowacji, skupiającej 1680 towarzystw. Dla Polaków znaczenie Sommera-Rydvana polega na jego działalności przekładowej. Przetłumaczył i wystawił sztuki: Krzywoszewskiego („Djabeł i Karczmarka", „Głuszec" i „Kolombina"), Konczyńskiego („Powrót wiosny" i „Bańki mydlane"), Rittnera („Wilki w nocy"), Kiedrzyńskiego („Gra serc"), Przybyszewskiego („Topiel"), Zapolskiej („Panna Maliszewska", „Panieński wieczorek" i „Carewicz"), Grubińskiego („Lenin") i t. d. Z prozy polskiej tłumaczył Krzywoszewskiego, Konczyńskiego, Rittnera, Makuszyńskiego, Rodziewiczówne i in.

W Polsce jubilat był poraz pierwszy przed dwoma laty. Zwiedził Pomorze, Poznańskie i Warszawę, gdzie zetknął się z autorami, którym pomagał zdobywać sympatje w Czechach.

W roku bieżącym Rydvan-Sommer zamierza przybyć znowu do Polski. Jednocześnie przygotowuje się do wielkiej akcji, mającej na celu popularyzację turystyki polskiej w Czechosłowacji.

Dr. Wł. M.

HODOWLA KWIATÓW W HOLANDJI



Narcyzy

Kwitnące konwalje

Fot. „The New-York Times"

DZIWNA PARAFJA

Nie dostrzegła mnie, gdyż wszedłem bocznemi drzwiami. Jej oczy utkwione były z uporem w niewiadomy punkt gdzieś w przestrzeni, wypełnionej dymem kadzideł i promieniami słońca, rozbitemi na wszystkie kolory tęczy przez barwne witraże. Oczy te wyrażały wewnętrzne skupienie pełne pokory i cichego smutku... Jeszcze nigdy nie widziałem jej takiej. Po chwili rozległ się donośny głos dzwonka... kilka westchnień... przy wtórze organów wszedł ksiądz w złocistym ornacie i rozpoczęło się nabożeństwo. Patrzyłem na wielki ołtarz. Ksiądz szeptał łaciński tekst modlitwy monotonnym głosem z rękoma wzniesionemi ku górze i głową opuszczoną nadół. W kościele brzmiał donośny śpiew i huczały organy. Spojrzałem ku ławkom. Panna Aniela wciąż patrzyła w ów niewiadomy punkt, a piękna jej twarz przybrała teraz wyraz posągu. Poczułem wewnętrzne drżenie, które zaczynało wytrącać mię z równowagi. Miałem wrażenie, że w tym kościele obcuję z czemś niezwykłem i wstrząsającem. W pewnej chwili ksiądz żołnierskim ruchem odwrócił się od ołtarza, by pobłogosławić wiernych. Stał z ręką wzniesioną w górę, pełen pobożnego skupienia, szary i pokorny. Nad kościołem rozległ się pomruk grzmotu, zbliżała się burza, zabłysła błyskawica, która oświeciła wnętrze kościoła i moje. Jakaś niewiadoma treść związana z tym dwojgiem ludzi zaczęła nabierać tu dla mnie takiej wymowy, że nie mogłem opanować przerażenia. Podczas nabożeństwa tego rozgrywała się jakaś tragiczna walka o najistotniejszą rację istnienia, walka na życie i śmierć... Czy między aniołem i szatanem?... Ci dwoje wplątani byli w tę walkę przez tragiczne zrządzenie losu, które było dla mnie tajemnicą. Z za gotyckiej kolumny, dźwigającej sklepienie kościoła, w dymie kadzideł, prześwietlonym purpurowem światłem, dostrzegłem jakby wychylający się cień szyderczo uśmiechniętego oblicza, a pośród huczących grzmotów dosłyszałem jakby stłumiony rechot śmiechu, który napróżno starały się zagłuszyć organy.

Pobożne pienia wypełniały kościół, zagłuszane chwilami pomrukiem grzmotów, hukiem piorunów i odgłosem bębnów. Nabożeństwo dobiegało końca, a ja czułem zamęt w głowie i nie byłem w stanie myśleć ani o Bogu ani o modlitwie.

To, co rozgrywało się tu w obliczu Boga, było zmaganiem się dwojga istnień ludzkich, skazanych przez wyższą Moc na próbę. Stałem bezradny wobec nawału myśli, nie mogąc rozwiązać tajemnicy miljonów serc cierpiących i nie rozumiejąc dziwnego w tej chwili bólu własnego serca. Przeniosłem wzrok na nich. Panna Aniela klęczała z twarzą ukrytą w dłoniach, jakby w przeczuciu ostatecznego wyrzeczenia się — a ksiądz odważnie trwał przy wielkim ołtarzu. Gdy odwrócił się raz jeszcze, by pobłogosławić tłum, młoda jego twarz była męczeńsko blada, pot spływał kroplami z czoła, a oczy patrzały zgaszone. Jednak w twarzy tej malował się teraz pełen godności spokój—spokój zwycięstwa odniesionego nad samym sobą i rezygnacji. Panna Aniela klęczała wciąż z głową pokutnie ukrytą w dłoniach, a śpiew wzmagał się i potężniał. Wybiegłem z kościoła niemal nieprzytomny. Gdy zdołałem się uspokoić, burza oddalała się, a skłębione chmurzyska szczerzyły jeszcze zęby, miotając błyskawice i grzmiąc złowróżbnie, niby zastęp złych duchów, którym nie udał się atak na dusze i serca umęczone walką.

Kościół stał zwycięski z wieżą wycelowaną w błękit i wyzwalał z siebie twórczą energję wiary, nadziei i miłości, którą napełniły go pobożne westchnienia i ciche słowa modlitwy tylu serc spragnionych radości i wypoczynku.

Wracałem do domu pod wrażeniem tego niezwykłego nabożeństwa, napróżno wysilając swą wyobraźnię, aby rozwiązać tajemnicę dwojga ludzi, dla których kościół stał się przybytkiem najstraszliwszych prób, przez które zrządzeniem Opatrzności musieli widać przejść, by postąpić o jeden krok naprzód w nieskończonej drodze ku wieczności.



VIII.

Minęły tygodnie, miesiące, a ja wciąż stałem w obliczu zagadki, którą napróżno starałem się rozwiązać. Wyobraźnia moja była za słaba, aby móc odnaleść klucz do rozwiązania tajemnicy. Od czasu do czasu jeździłem do starego dworu pielęgnować chorą, która coraz większego nabierała do mnie zaufania, przyczem stałem się jej niezbędnym do podtrzymania resztek uciekających sił. Spotykałem pannę Anielę, która trwała na swoim posterunku, dumna i nieodgadniona, roztaczając dokoła czar młodej i bujnej energji. Ile razy miałem zamiar pytać ją o jej przeszłość i dawne przeżycia — słowa więzły mi w gardle. Dziewczyna ta onieśmielała mnie, a jej spojrzenia wprost bałem się—ja stary wyga, obity na wszystkich frontach i sterany przez życie. Gdybym się czuł młodszy, zakochałbym się w niej na śmierć i życie — dziś — była to adoracja pełna melancholji dla pięknej młodości, nad którą o zaraniu najpiękniejszych być może wzlotów zaciężył nieubłagany los. Gdybym choć mógł zajrzeć w jej oczy do dna i zgłębić ich romantyczną zagadkę...

Przyszła nareszcie chwila, dziś jeszcze pamiętam ją dobrze. Działo się to u łoża chorej, na krótko przed jej odejściem. Kazała na klucz zamknąć drzwi i oświadczyła, że musi mi przed śmiercią swą coś zeznać. Strzępy jej słów, zapadłe głęboko w pamięć, nagle czasem słyszę, gdy wspominam lata spędzane w tej dziwnej parafji. Ileż w opowiadaniu tem było koturnowego tragizmu, wyolbrzymionego przez osobliwą egzaltację. Ta kobieta miała wyobraźnię, której pozazdrościćby mógł niejeden romansopisarz z epoki Barbey'a d'Aurevilly. Nie byłbym w stanie opowiedzieć tej osobliwej historji jej słowami, w których czaił się obłęd, a w której jednak było dziwnie realne wyczucie nadprzyrodzonych sił, miażdżących człowieka jak fatum. W opowiadaniu tem stosunek panny Anieli i ułana, który został potem proboszczem w miasteczku X., urastał do rozmiarów niemal greckiej tragedji. Miała nad nimi zaciążyć kara Boża!

Próżno starałem się uspokoić chorą. Wstrząśnienia doznane podczas rewolucji rosyjskiej i tragiczny koniec rodziców panny Anieli, którego była świadkiem, wszystko to odchyliło przed jej oczyma rąbek innego świata, dla niej tylko widzialnego — świata upiorów. Umierając, szeptała słowa supli-

kacji: „Od powietrza, ognia i wojny zachowaj nas Panie". Dopiero przed samym końcem uspokoiła się, uśmiechnęła do swej siostrzenicy i do mnie, jakby powierzając ją mej opiece. Byłem przecież jedynym człowiekiem, który wiedział o wszystkiem i rozumiał jaśniej może niż ona i bardziej po ludzku to wszystko, co było tajemnicą panny Anieli.

Dziś, gdy minęły lata, mogę to streścić w kilku słowach równie prostych, jak prostą była dusza tej dziewczyny: więc podczas wielkiej wojny europejskiej, gdy panna Aniela miała 18 lat i była zamożną jedynaczką dziedziców starej fortuny, zakochał się był w niej młody człowiek. Nic prostszego. Ale była to miłość inna trochę, niż te codzienne, a i ludzie ci mieli w sobie widać więcej treści, niż wszyscy. Wysiliła się natura, aby uczynić dwoje serc gorętszemi, niż inne serca; biła w nich krew czerwieńsza widać, niż ta zwykła, a i w głowach ich palił się widać mocniejszy płomień, niż w przeciętnych głowach. Była to para piękna i dobrana — bogaci, zdrowi — zdawało się, że świat jest na ich usługach.

Ale nie przeznaczone im było to łatwe szczęście, w którem człowiek rozprasza się i unicestwia zamiast stawać się i umacniać. Przyszły wielkie wypadki dziejowe. Wraz z ustępującą armją rosyjską zmuszona była cała rodzina podążyć z dobytkiem na Wschód, pozostawiając po sobie łuny pożarów — i gdzieś dopiero w jednem z większych miast znaleść oparcie. Narzeczony panny Anieli był w wojsku rosyjskiem. Na emigracji miłość dwojga młodych rozwijała się coraz piękniej, coraz płomienniej. Gdy państwo carów zaczęło chwiać się w swych posadach, a w wyobraźni polskich żołnierzy coraz wyraźniej jęła zarysowywać się możliwość walki bezpośredniej o niepodległość Ojczyzny — młody ułan był w szeregu tych, którzy pierwsi rzucili hasło i jęli zwoływać się jak żórawie, rozproszeni po niezmierzonych obszarach rosyjskiego imperjum.

Tymczasem wybuchła rewolucja. Jej płomień ogarnął wszystko — nadeszły tragiczne dni. Młodzi widywali się coraz rzadziej — on zajęty konspiracją, a ona opieką nad rodzicami, którzy mieli zdrowie sterane. Mimo to, miłość ich wzmagała się, jakby trawiona przeczuciem, że nadejdą dni, w których wystawiona będzie na straszliwe próby. Przyszły miesiące, w których niebezpieczeństwo zaczęło zagrażać każdej rodzinie polskiej i każdemu polskiemu oficerowi. Do miasta wkroczyli krasnoarmiejcy, mordowano, znęcano się i przelewano niewinną krew. Człowiek stał się gorszym od drapieżnego zwierzęcia i zdawało się, że nie pozostało na świecie już nic prócz nienawiści. W tych warunkach rozegrało się jedno z tych wstrząsających zdarzeń, które miało rozstrzygnąć o losach panny Anieli i jej narzeczonego. Na dom jej rodziców napadli pijani marynarze i zaczęli mordować wszystkich mieszkańców, związawszy uprzednio obecnego tam wówczas młodego oficera. Miotany rozpaczą, od której sznury poprzecinały mu ścięgna nóg i rąk, widział ostatni raz swą ukochaną, jak ją gdzieś wlókły ludzkie potwory, zrywając z niej białe szaty. Takie było ich pożegnanie. W walce, która rozgorzała chwilę potem, zapomniano o nim i jakoś wyswobodzili go z pęt dobrzy ludzie. Chodził po mieście, słaniając się na nogach i szukał śmierci — los jednak zrządził inaczej, bo szukał jej napróżno. Wtedy nie pozostało mu nic już na świecie prócz młodości — i ta popchnęła go w szeregi wojska polskiego. Walczył, dopóki starczyło mu moralnych sił — jednak wstrząśnienie było zbyt silne — nie zwyciężyła go nawet młodość, nawet wschodzące słońce wolności. Chciał z życia swego uczynić ofiarę, szukał jej na polach bitew—ale śmierć wyraźnie drwiła sobie z niego.

...Pewnego dnia doznał jakby olśnienia — posłyszał głos wewnętrzny, wołający go niby do apelu — wystąpił z wojska, wstąpił do seminarjum i został księdzem. Po latach odkomenderowano go do parafji w miasteczku X., tam właśnie, gdzie łączyły go z życiem najpiękniejsze wspomnienia. Oddany był cały służbie Bożej, gdy stał się cud — jeden z wielu owych czasów. Panna Aniela wróciła do swego dworu cała i zdrowa, tylko sama jedna i trochę inna. Po paru pierwszych dniach pobytu w opuszczonym domu pojechała do kościoła podziękować Bogu za ten powrót i ocalenie — i tam nagle... w księdzu odprawiającym nabożeństwo poznała ukochanego. Czyż można wyobrazić sobie bardziej wstrząsające spotkanie?... Wystawieni na próbę najwyższą pozostali niezłomni, każdy na swym posterunku, godni swej rasy i tradycji. Jeśli zajrzała im w oczy pokusa, jemu aby wyrzec się wiary i podeptać sukienkę duchowną — oraz jej, aby stać się jego wspólniczką — to potrafili tę pokusę zwyciężyć. Nie chcieli sprofanować własnej miłości, woleli się jej wyrzec. Rzecz niezrozumiała może dla wielu, bardzo wielu —a jednak prosta.

Kiedyś po latach uścisną sobie dłoń i spojrzą z uśmiechem pobłażania na własną przeszłość i przebytą drogę oraz pomyślą, że dla takiego uśmiechu warto było żyć i warto cierpieć nawet za niepopełnione winy — albowiem w cierpieniu dusza hartuje się, jak stal w ogniu.

. . . .

Widzę ich w myślach moich, jak idą we dwoje grabową aleją, siwi już i pomarszczeni, a jednak młodzi tą inną już młodością... Nieraz przychodzą mi na myśl, gdy widzę dokoła brud i upodlenie, kłamstwo i nienawiść i gdy w człowieku napróżno człowiek szuka człowieczeństwa. Wtedy wspominając ich, zdaje mi się, że jest jednak jakaś droga idąca po przez to życie, która mimo upadku i hańbę człowieka wiedzie nas ku wyżynom.

35-lecie Pogotowia Ratunkowego w Warszawie



DR. JÓZEF ZAWADZKI, ZASŁUŻONY DZIAŁACZ SPOŁECZNY, INICJATOR I ZAŁOŻYCIEL POGOTOWIA RATUNKOWEGO W WARSZAWIE, KTÓREJ TO INSTYTUCJI 35-LECIE UROCZYŚCIE OBCHODZONO W DN. 24 B. M.

Fot. Marjan Fuks





P. LILI ZIELIŃSKA, URODZIWA ARTYSTKA TEATRÓW MIEJSKICH, (ZNANA RÓWNIEŻ Z EKRANU), JAKO MARGRABINA MONDECAR W „DON KARLOSIE" I JAKO KRÓLOWA HORTENSJA W „STU DNIACH"

DWIE „PRAPREMJERY" POLSKIE

Wrażenia z dwudniowej wycieczki do Poznania

Zimny, kwietniowy ranek. Bezlistne, nagie szkielety drzew umykają przed pędzącem na dworzec autem, „Blitz" poznański, przed rokiem jeszcze stale zapełniony, lśni imponującą schludnością niezajętych siedzeń. Jazda prawdziwie europejska. Pierwsza stacja — Kutno! Druga, nie wiedzieć kiedy — Konin! W pół drogi przewala się potężnym łukiem gotowy tor magistrali węglowej... Jeszcze jeden przystanek i — w cztery z niewielkim okładem godziny — dworzec poznański! Brawo P. K. P.!

Poznań... Inny kraj, inny klimat. Gorąco, jak w lecie. Drzewa prawie zielone. Żelazne sztachety Zamku opowite kiściami świeżego żółtego kwiecia... Wszystko jakieś inne w zachodniej stolicy Polski. Czyste, odświętne, jakby dostatniejsze... Na głównych arterjach roje przechodniów. W południe i pod wieczór w ogromnych lokalach kawiarnianych — tłumy. Na „prapremjerze" Rostworowskiego w Polskim — komplet. Zamknięta kasa! Tegoż wieczora komplet w Operze na występie Wermińskiej! Przepełnienie również w Teatrze Nowym na występie „English Players"... Nazajutrz, w tym samym teatrze na drugiej polskiej premjerze — również komplet bez mała!...

Więc taki świetny sezon teatralny w Poznaniu?

Podobno — nie... Nawet przeciwnie: tak złego, jak obecny, nie było od szeregu lat. Zanik frekwencji zupełny! To samo zresztą w handlu i we wszystkich dziedzinach życia: źle, bieda, zastój, zubożenie... Przyjezdny tego nie widzi. Widzi natomiast wiosnę, ruch, przepełnienie... A poznanianin mówi: to wyjątkowo dziś...

Ale wracając do celu podróży. „U mety". Na słupach, na wystawach olbrzymie płachty reklamowe z łokciowemi napisami: „Prapremjera Karola H. Rostworowskiego". I portrety twórcy w każdem oknie. I pełno wszędzie zdjęć ze sztuki — jeszcze nie-odegranej... Tempo!

Prapremjera laureata nagrody państwowej i jego przybycie do Poznania — stały sie dla miasta czemś więcej niż wydarzeniem teatralnem. To święto kulturalne inteligencji poznańskiej. Całe miasto od szeregu dni o niczem innem nie mówi. Bilety na pierwsze przedstawienie wykupiono dosłownie w ciągu paru godzin! Na długo przed ósmą komplet widzów na sali taki, jakiego najstarsze szatniarki w gmachu nie pamiętają. Stroje odświętne, jak na największą uroczystość...

W tych warunkach i nastrojach trudno zdawać sprawę z wrażeń, odniesionych ze sztuki. Przesłaniają je wrażenia z uroczystości premjerowej. A ta była czemś imponująco żywiołowem, wręcz porywającem! Nieduża, szacowna sala Teatru Polskiego aż dygotała od oklasków. Po drugim akcje, gdy ukazał się na scenie Rostworowski, cała publiczność powstała z miejsc i stojąc składała hołd poecie. Tymczasem na scenę wnoszono kwiaty, wiązanki, wieńce...

Parę słów jednakże o sztuce. „U mety" jest dalszym ciągiem i zakończeniem trylogji dramatycznej, której pierwszemi ogniwami są: „Niespodzianka" i „Przeprowadzka", znane z Teatru Narodowego. Środowisko o szczebel społeczny i towarzyski wyższe. Już nie chłopi, nie murarze, lecz ci, co z chłopów i murarzów wyszli i — wspięli się wyżej. Franek Szywała jest już „Doktorem Franciszkiem Szywalskim". Są i przedstawiciele innych sfer, aż do podupadłej arystokracji włącznie. Coś jakby satyryczny przekrój przeciętnej dzisiejszej socjety średnio dużego miasta. Więcej może — coś jakby tragedja satyryczna snobizmu dzisiejszych sfer „dochodzących".... Zresztą, szereg świetnie zbudowanych scen; kapitalne scenki i typki rodzajowe; częste djalogi i powiedzenia; kilka pierwszorzędnych, popisowych ról aktorskich. Za wykonanie tych ról zbierali aktorzy Teatru Polskiego entuzjastyczne oklaski wdzięcznej publiczności Poznania — nierzadko przy podniesionej kurtynie...

Teatr Nowy w Poznaniu



HALINA CIESZKOWSKA, JAKO „FANNY" W KOMEDJI PAGNOLA „MARJUSZ". SUKCES ODNIOSŁA SZTUKA, JESZCZE WIĘKSZY ARTYSTKA, ODTWARZAJĄCA GŁÓWNĄ ROLĘ KOBIECĄ Fot. St. Markiewicz

Oddzielne słowo należy się reżyserji dyr. Szczurkiewicza za sprawność skomplikowanej machiny aktu drugiego (uczta weselna). Przyjęcie premjerowe zdaje się wróżyć „Mecie" wielkie powodzenie u publiczności poznańskiej. Po Poznaniu ujrzeć ma sztukę Kraków; w sezonie jesiennym ujrzy ją Warszawa w Teatrze Narodowym.

Nazajutrz — druga prapremjera w Teatrze Nowym. I drugie święto teatralne—już na mniejszą skalę...

Krotochwila p. Antoniego Marczyńskiego — dotychczas znanego szeroko z wielu poczytnych powieści sensacyjnych—„Karjęra gwiazdy filmowej" jest raczej obszernym 3-aktowym sketchem, jednakowoż mającym tę niewątpliwą zaletę, że może dać aktorce o uzdolnieniach rodzajowo - charakterystycznych pretekst do stworzenia interesującej i zabawnej kreacji komedjowej (rzekomej „Marleny"). Poznańska wykonawczyni tego niełatwego zadania aktorskiego miała fazę szczęśliwszych momentów, i te skwapliwie podkreśliła ciepłym aplauzem arcywdzięczna publiczność poznańska. Niemniej gorąco przyjmowano i fetowano i samego autora. Publiczność nie wstała coprawda z miejsc, lecz znów były huczne oklaski, znów były kwiaty i wieńce. Jak za najlepszych czasów...

I ta sztuka również, tak odmienna charakterem, tak różna wartością od sztuki Rostworowskiego ma pono wszelkie dane na powodzenie... Bawiono się dobrze przez cały wieczór.

Felix Posnania... Inny kraj, inny klimat. *b.*

Warszawskie Teatry Miejskie

TEATR NARODOWY. Jak to było do przewidzenia, „Sto dni" Mussoliniego i Forzana wywołały niezmierną rozbieżność sądów i nawet ożywione polemiki. Jeśli chodzi o krytykę, to dawno już nie konstatowano w Warszawie podobnie krańcowych różnic w ocenie. Niektórzy z krytyków zapomnieli nawet o obowiązujących obyczajach kurtuazji w stosunku do cudzoziemskich mężów stanu, zajmujących w swoich krajach naczelne stanowiska. Inni posunęli się do przypisywania dyrekcji utajonych tendencji politycznych. Pojawiły się z tego powodu ostre ataki, zapowiedzi groźnych kampanji. Socjalistyczno-żydowski Bund rozrzucił na jednem z przedstawień ulotki, wymierzone przeciw Mussoliniemu i faszyzmowi wogóle. Krótko mówiąc, wcale wielka burza w dość małej szklance wody. Tyle razy w tejże krytyce wyrzekano, iż teatr nie powinien pozostawać na marginesie życia, że przeciwnie, winien odzwierciadlać te wszystkie zagadnienia i ścierania się idei, które nurtują w danej chwili społeczeństwo! Gdy jednak teatr jedną z takich właśnie sztuk wystawia,— sztukę, która obiega wszystkie większe sceny europejskie i wszędzie wznieca duże zainteresowanie, poczytuje się to teatrowi za błąd nie do darowania.



P. MARJA GORCZYŃSKA, ORYGINALNE UCZESANIE Z FIRMY ANTOINE W „BANKU NEMO"



P. MARJA GORCZYŃSKA W PIĘKNEJ SUKNI Z FIRMY EWELINE. WDZIĘCZNA SYLWETA W „BANKU NEMO"

Jeden z przyjaciół „Dziennika Poznańskiego" nadesłał do tego pisma list, w którym zaprzecza, iżby Mussolini był współautorem „Stu dni". Twierdzi, że tylko dawał drugiemu współautorowi, p. Forzano, dyrektywy, rady. W Paryżu pisano o „Stu dniach", jako o sztuce pp. Mussoliniego i Forzana. W Niemczech afisze głosiły: według scenarjusza Benita Mussoliniego napisał Forzano. Tak samo w Warszawie. W kołach literackich ten, kto tworzy scenarjusz sztuki, jest zawsze uważany za współautora.



MARJA ROŃSKA, KTÓREJ WIELOKROTNE WYSTĘPY W SCALI MEDJOLAŃSKIEJ ZYSKAŁY NIEZWYKŁE UZNANIE PUBLICZNOŚCI I KRYTYKI, POWTÓRNIE ZAANGAŻOWANA ZOSTAŁA NA SEZON PRZYSZŁY

Przedstawienie „Stu dni" wyrównało się, antrakty są znacznie krótsze, widowisko nabrało tempa i barwy. Godne jest widzenia.

TEATR LETNI. Dziesięć ostatnich przedstawień „Banku Nemo". W Paryżu komedja ta, obok „Fanny" Pagnol'a, stanowi największy sukces sezonu. Dochodzi już do 200 przedstawień i powodzenie jej wciąż rośnie. Realizacja warszawska jest wyjątkowo świetna. Leszczyński, Fertner, Kurnakowicz i Gorczyńska, odtwórcy głównych ról, stanowią czwórkę niezrównaną. Kto się nie ubawił jeszcze na tej wybornej komedji, winien się pospieszyć.

TEATR NOWY daje serję przedstawień lekkiej, wesołej komedji włoskiej „Młodość szumi" po cenach popularnych. W głównych rolach Smosarska i Wesołowski. Nieustanne salwy śmiechu, tu i ówdzie przeplatane lekkiem wzruszeniem... Miłe, niefrasobliwe przepędzenie wieczoru.

„DON KARLOS" W TEATRZE NARODOWYM

Po cenach popularnych

Wobec licznych życzeń ze strony miłośników sceny, Dyrekcja Teatrów Miejskich postanowiła dać cykl przedstawień „Don Karlosa" w obsadzie premjerowej po cenach przedstawień popularnych. Cykl ten rozpocznie się w poniedziałek, dn. 2 maja. Przewidywanych jest 7 — 8 widowisk, kto zatem nie miał możności podziwiania tego widowiska, będącego „gwoździem" tegorocznego sezonu teatralnego, winien się pospieszyć!

Krótki podręcznik dla wybierających się na „Sto dni" do Narodowego

1. *Mussolini*. Benito. Duce. Literat. Także: dramaturg. Współautor sztuki „Sto dni". Własne dzieło dramatyczne: Współczesne Włochy.

2. *Napoleon*. Bonaparte. Wielki Korsykanin. Mały kapral. Cesarz. Nieustający temat literacki i zawsze dobra rola aktorska.

3. *Letycja*. „Madame Mère". „Madame Madre". Matka Rodu Królów: Cesarz Francji, król Hiszpanji, król Holandji, król Westfalji; dwie córki z królami; najmłodszy syn ojcem Napoleona III. Jeszcze córka. Razem ośmioro. Z domu niesłusznie zwana Ramolini...

4. *Hortensja*. (Nie mieszać z ulicą w Warszawie). Córka Józefiny i generała Beauharnais. Pasierbica.

5. *Fouché*. Grubszy tom historji Francji. Żelazny minister: trzech interregnów, dwóch cesarstw, dwóch królestw, jednej republiki, wielu rewolucyj. Zapomnieć o Fouché'm z „Madame Sans-Gêne".

6. *Król Rzymu*. W sto lat później świetna rola Osterwy. Tutaj: pięć wiosen życia i rola za sceną. (Wystarczy dla Ludwika Solskiego, żeby stworzyć arcydziełko epizodu).

7. *Gourgaud*. Jeden z mniej znanych generałów napoleońskich. Ale pięknie opowiada o bitwie pod Waterloo. Dowiemy się o tem od Józefa Węgrzyna.

8. *Davoust*. Marszałek Francji. Minister spraw wojskowych Napoleona. Jak na Marszałka i ministra emeswojsk za mało znaczy (w sztuce).

9. *Izba*. „*Chambre*". Parlament. Po polsku: Sejm...

10. „*Awokat*". „Hałastra". (Słówka Napoleona). Po polsku: Poseł do Sejmu...

11. *Sto dni*. Podróż z Elby na Świętą Helenę. Okrężną drogą przez Waterloo. W „Narodowym" nie potrwa dłużej nad trzy godziny...

Reszta informacyj jak zazwyczaj za opłatą pełnego biletu teatralnego w kasie Narodowego lub w Orbisie. Dla „światowców" 50% taniej.

Zamknięci w partyturach

(IX symfonja w Filharmonji).

Publiczność nasza nie mogła przecież zgóry wiedzieć, że wykonanie IX-tej Symfonji Beethovena pod kierownictwem Oskara Fierda, skądinąd bardzo wytrawnego kapelmistrza, nie uda się, nie stanie na wyżynie winnej temu olbrzymiemu dziełu. Ostatecznie, — orkiestra Filharmonji i dobrze już wydyscyplinowane chóry dawały dostateczną gwarancję poziomu wykonania.

Niemniej przeto publiczność nasza zawiodła nadzieje, — prawie bowiem na koncert nie przyszła. Tak więc powiedzieć to sobie należy bez ogródek: — jak dotąd, dla wielkiej muzyki zespołowej, czy oratoryjnej niepodobna zdobyć warszawiaków.

W innych wielkich środowiskach wystawienie IX symfonji ma zawsze swą publiczność. Co więcej,—jest zawsze swego rodzaju uroczystością. Sam rozmiar dzieła i jego historyczne przełomowe znaczenie — robią swoje. U nas rzeczy te nie trafiają do przekonania szerokiej masy.

To samo można powiedzieć o muzyce zespołowej chóralnej i kameralnej. Nie ambicjonujemy zupełnie o rozwój tych gatunków muzyki, właściwie podstawowych. W dziedzinie muzyki kameralnej jesteśmy chyba że na szarym końcu, w produkcji chóralnej, mimo niezmiernie pracowitego wysiłku poszczególnych mistrzów tej dziedziny, — utrzymujemy się zaledwie na jakim takim poziomie.

Dlaczego tak jest — niewiadomo? Może po części dlatego, że całą miłość do muzyki absorbuje u nas Chopin, nasz mistrz narodowy, całą swą twórczością oddany muzyce solowej?

Taki stan rzeczy musi wśród pedagogów naszych i kompozytorów stwarzać niemałe zakłopotanie. Muszą oni przecież myśleć nad zmianą usposobienia szerokiej masy.

Kompozytor muzyki kameralnej, czy twórca usiłujący działać w zakresie wielkiej muzyki zespołowej, to artysta zgóry niejako skazany na odosobnienie i zamknięcie się w niewykonywanych przez nikogo partyturach.

Czy można zmienić owo usposobienie publiczności? Chyba można, należy tu jednak poczynić ogromne wkłady pracy, która musi trwać lata, rozpoczynając od kultury śpiewu i gry zespołowej wśród szkolnej młodzieży.

Niewesoła to jednak perspektywa dla kompozytorów, dzisiaj właśnie, w tym okresie piszących dla zespołów chóralnych, kameralnych i oratoryjnych.

jkb.

Kwadrans u Emila Młynarskiego

Były długoletni dyrektor Opery warszawskiej, ostatnio laureat muzycznej nagrody stolicy, p. Emil Młynarski, powróciwszy do kraju, dzieli się z naszymi czytelnikami wrażeniami z pobytu w Ameryce, gdzie bawił przez dwa lata, jako dyrygent opery a zarazem i pedagog.

— O życiu artystycznem Ameryki trudno jest powiedzieć w kilku słowach. Być może, że wkrótce szerzej podzielę się swemi wrażeniami z czytelnikami „Świata". Jeżeli chodzi o miejscowy ruch artystyczny, to jest on bardzo mały, natomiast ten rzeczywisty, imponujący rozkwit muzyki i opery zawdzięczać należy siłom europejskim i lokalnym pieniądzom. Ameryka doniedawna jeszcze posiadała najwspanialsze orkiestry, utrzymywane przez osoby prywatne, t. j. miljonerów, jak ongiś przez królów na starym lądzie. Lecz obecnie placówki te zaczyna dotykać kryzys i wskutek niego załamuje się też opera. Naprzykład magnaterja, utrzymująca „Metropolitan Opera" w New Yorku, zaczyna wycofywać się, próbując na swoje miejsce wciągnąć szersze masy; opera w Chicago skróciła tegoroczny sezon o trzy miesiące i są bardzo małe widoki, aby w przyszłości pracowała w dawnej pełni. W Filadelfji także zmniejszono ilość przedstawień operowych.

— A jak się przedstawia bilans pracy pana dyrektora?

— Byłem przez dwa lata dyrygentem „The grand Philadelphia Opera Company", którą subsydjuje i utrzymuje pani Mary Louise Bok, właścicielka olbrzymiego dziennika, posiadającego trzy miljony nakładu dziennie: „The Saturday Evening Post". Miałem pracy sporo, gdyż dyrygowałem kilkunastu operami, pozatem byłem jednym z profesorów w „The Curtis Institute of Music", również utrzymywanym przez p. Bok. Jest to oryginalna placówka, gdyż niemal wszyscy pedagodzy są Polakami. Dyrektor naczelny Józef Hoffman, profesorowie Marczello Sembrich-Kochańska, Artur Rodziński, polskiego pochodzenia Leopold Stokowski i inni. Z orkiestrą instytutu, zwaną „The Curtis Symphony Orchestre", złożoną ze 110 osób, dałem szereg koncertów zarówno w Filadelfji, jak w Washingtonie Bostonie i innych większych miastach. Wszędzie mieliśmy olbrzymie powodzenie.

— Jakie plany ma pan na przyszłość?

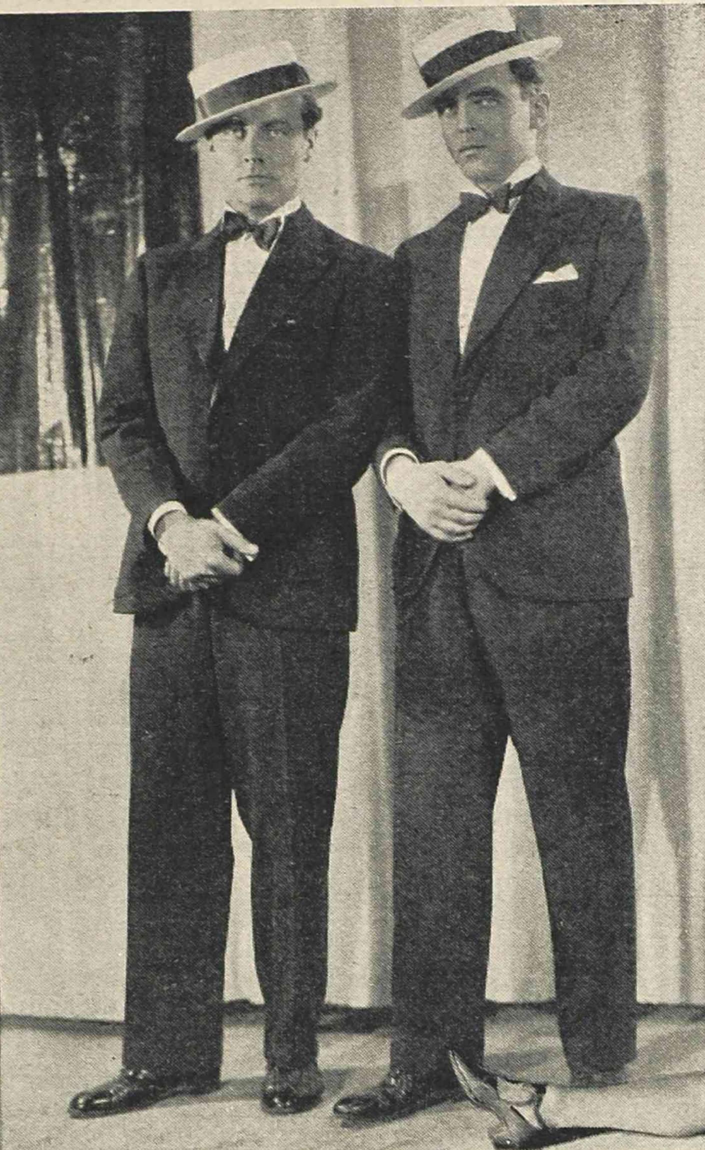
— Przedewszystkiem muszę wyleczyć się. Kuracja w Dax dobrze mi zrobiła, lecz jeszcze trzeba uważać na siebie. W każdym razie żadnego stanowiska kierowniczego nie obejmę. Nie mam na to sił i zdrowia, których za wiele pochłonął okres mojej dyrekcji w operze warszawskiej. Może występować będę gościnnie, dyrygując koncertami i operami — nie wiem jeszcze. Przedewszystkiem chcę się zająć pracą twórczą, na którą dotychczas nigdy nie miałem właściwie czasu. Ta myśl najbardziej mnie pociąga...

W. R.

Z TEATRZYKÓW REWJOWYCH: „MORSKIE OKO“ I „KAMELEON“



TOLA MANKIEWICZÓWNA, ŚWIETNA ŚPIEWACZKA OPEROWA, WSTĘPNYM BOJEM ZDOBYŁA SOBIE PUBLICZNOŚĆ I KRYTYKĘ, JAKO ZNAKOMITA ODTWÓRCZYNI WESOŁYCH, LIRYCZNYCH PIOSENEK. ŚPIEW JEJ JEST NIEWĄTPLIWĄ ATRAKCJĄ PROGRAMU „MORSKIEGO OKA“



IGO SYM, ORAZ ŻABCZYŃSKI W GROTESKOWYM DUECIE, BUDZĄ STALE HUMOR NA WYPEŁNIONEJ SALI „MORSKIEGO OKA“

Fot. St. Brzozowski



NIEMIRZANKA I OLSZA W REWJI P. T. „WALTER POD MESSALKĄ“, GRANEJ Z POWODZENIEM W „KAMELEONIE“



IGO SYM W REWJI P. T. „LISTEK FIGOWY“ GRANEJ W „MORSKIEM OKU“ JEST ATRAKCJĄ DLA WARSZAWIANEK

Nowe rewje w „Morskiem Oku" i w „Bandzie"

Teatry rewjowe Warszawy, które ostatnio przeżywały widoczny kryzys pomysłów i tekstów, natrafiły znowu na szczęśliwszą passę...

Obecnie i „Morskie Oko" i „Banda" wystąpiły z doskonałemi programami.

Rewja „Morskiego Oka" nosi tytuł „Listek figowy", zgoła zresztą nie tłomaczący się, ale nie o to przecież chodzi, jeżeli całość jest barwna i efektowna.

Zespół został wzmocniony siłami ściągniętemi z opery, operetki i filmu.

Stanisław Gruszczyński przyjął się już na dobre w rewji. Braki w grze wynagradza wspaniałym głosem, budzącym entuzjazm wśród kabaretowej publiczności. Z opery przybyła również na deski sceny rewjowej Tola Mankiewiczówna. Nabytek pierwszorzędny.

Z filmu pozyskano Igo Syma, który dyskontuje urodę fotogeniczną i popularność, zdobytą za pośrednictwem ekranu.

Zizi Halama konsekwentnie stara się wyrobić na recytatorkę i w tym programie w obrazie „Na dancingu" osiąga wcale interesujące wyniki.

Loda Halama ma się ukazać wkrótce w teatrzyku „Kameleon".

„Banda" po słabszym poprzednim programie — dała teraz teksty, pulsujące werwą i dowcipem. Zespół aktorski wyborny. Zula Pogorzelska występuje, jako „bachor żydowski" i jako „przepyszna kuchta".

Kalinówna śmieszy i wzrusza... Lawiński w jednoaktówce Molnara „Jubileusz pana prezesa" — najlepszy skecz w programie — stwarza postać komedjową.

Lena Żelichowska, Stefcia Górska, Bogucki — wnoszą na scenę młodość, wdzięk i temperament.

Dymsza znowu nie wyzyskany należycie.

Specjalną atrakcją programu jest Krukowski, który prezentuje swoją metamorfozę z Lopa na groteskowego matrymonjalnego „Hamleta z zadartym nosem".

Numer ten poprzedza Jarossy następującem wyjaśnieniem:

— Przyszedł do mnie mój wróg i podwładny Krukowski i powiedział, że zrywa z Hipkiem i Lopkiem i chce zabłysnąć w innym repertuarze. Mówię mu „To błyskaj!... Idź do dyrektora Krzywoszewskiego, zaproponuj mu, że zagrasz Don Karlosa, niech cię Krzywoszewski wyrzuci za drzwi — dlaczego ja to mam zrobić... Ale tak mnie prosił, że zgodziłem się i państwo zobaczycie...

Zobaczyliśmy i uśmieliśmy się serdecznie.

Roma.

Szlakiem Dziesiątej Muzy

FILM Z ŻYCIA MARJI WISNOWSKIEJ.

Powstało w Warszawie nowe konsorcjum filmowe, które zamierza w najbliższym czasie rozpocząć zdjęcia do filmu z życia Marji Wisnowskiej. Kierownikiem produkcji będzie p. Leopold Brodziński, b. sekretarz Poli Negri i kierownik operetki w „Nowościach, któremu udało się wydostać od rodziny tragicznie zmarłej artystki sporo materjałów, rzucających snop światła na zagmatwaną przez ówczesne władze rosyjskie w celu oczyszczenia mordercy Bartenjewa sprawę zabójstwa Marji Wisnowskiej

Obsada filmu trzymana jest narazie w tajemnicy, wiadomo tylko, że wezmą w nim udział pierwszorzędne siły artystyczne.

„KSIĘŻNA ŁOWICKA" NA EKRANIE.

Już dawno nęciły filmowców polskich romantyczne dzieje pięknej Joanny Grudzińskiej — „Księżny Łowickiej". Splot wydarzeń historyczno - erotycznych, wielkie postacie tak ze sobą sprzeczne, jak bohaterski Łukasiński i W. Ks. Konstanty — jakie to wdzięczne tworzywo dla filmowca-artysty! Mówiono o tem w kołach filmowych już wielokrotnie. To też nie wywołała zdziwienia wiadomość, że „Blok-Muzafilm" przystępuje już wkrótce do realizacji zakrojonego na wielką miarę dźwiękowca p. t. „Księżna Łowicka". Długo trwały energiczne badania w muzeach, bibljotekach, antykwarniach. Szperano wszędzie, aby przygotować materjał najobfitszy, najbardziej wyczerpujący, najcenniejszy. Poszukiwania te nie ustają do tej chwili, to też gotowy scenarjusz jest wciąż nadal uzupełniany i udoskonalany. Jest oparty na kolejach życia „Ks. Łowickiej", jego zaś akordem końcowym jest wybuch powstania listopadowego, przy dźwiękach hymnu „Hej, kto Polak, na bagnety...!" Wytwórnia „Blok" jest jedną z tych nielicznych placówek filmowych u nas, które zdobywają się na nieosiągalną dotąd w Polsce ciągłość prac realizacyjnych i to nietylko w sensie „co rok - prorok", ale w sensie nieprzerwanej pracy film za filmem. Po „Janku Muzykancie", „Dziesięciu z Pawiaka", obraz, który pobił wszelkie dotychczasowe rekordy powodzeniowe filmów polskich, wnet potem wesoła humoreska „Ułani, ułani", a obecnie wre praca nad realizacją „Ks. Łowickiej". Reżyser M. Krawicz, inż. Zb. Gniazdowski i St. Szebeko kierują rozpoczętemi pracami przygotowawczemi, pertraktują z najwybitniejszemi siłami aktorskiemi, malarskiemi i muzycznemi.

NOWE FILMY POLSKIE.

Na ekranie kina „Apollo" święci powodzenie od szeregu tygodni nowy film polski „Puszcza", podług powieści Józefa Weyssenhoffa, zrealizowany przez reżysera Ryszarda Biskego. Scenarjusz Zofji Dromlewiczowej, nagrodzony swego czasu na konkursie „Asfilmu", wyróżnia się tem, że wbrew złośliwym przewidywaniom, mającym źródło w częstych nieudolnych przeróbkach filmowych — nie zatracono w nim charakteru utworu. „Puszcza" Weyssenhoffa to ukochanie przyrody, ukochanie borów kresowych, rozlewisk wiosennych, głębokich jezior i łąk nad rzekami ciągnących się pasmem szerokiem... W „Puszczy" sfilmowanej to ukochanie przyrody, ta miłość do puszczy podkreślona jest bardzo mocno... Tak samo, jak w powieści — i tutaj stary leśniczy jest jakgdyby symbolem tej przyrody leśnej, z którą związany jest tak silnie. Przełom, jaki w duszy rozkochanego w bezdusznej kokietce Kotowiczu dokonvwa się zwolna pod wpływem obcowania z polami i lasami wsi rodzinnej, uwydatniono również w sposób naturalny. Może są pewne niedociągnięcia i braki, może scenarjusz nie daje tak pełnego obrazu, jak owieść, ale jest on stanowczo o całe niebo lepszy od tych wszystkich scenarjuszów pseudo-historycznych, które są zlepkiem fantastycznej arogancji autorów i ich skłonności do przefasonowywania cudzych pomysłów, nieraz bardzo znanych, a mimo to dziwnie pociągających dla tych, których inwencja nie umie się zdobyć na nic własnego.

Przepiękne plenery, (operatora Wawrzyniaka), pełne niesamowitego uroku i czaru — są ozdobą tego filmu dobrze wyreżyserowanego i dobrze granego. Na pierwszy plan wysuwa się postać starego leśniczego, grana znakomicie przez Tadeusza Ordeyga. Trochę chwiejny w pomyśle, ale dobry w sylwetce zewnętrznej — obdarzony pięknemi warunkami Karewicz ma szereg dobrych scen z Niną Grudzińską, bardzo efektowną w tej części filmu, której akcja rozgrywa się na Riwjerze. Bardzo ładnie zaprezentowała się Ina Benita. Wszystkie niemal epizody — starannie opracowane.

Drugim filmem polskim, który obok powodzenia u publiczności uzyskał świetną opinję śród krytyków — a zszedł z ekranu kina „Stylowy" po wielu tygodniach wyświetlania — był obraz reżysera Al. Forda „Legjon ulicy" (wytwórni Leofilm), osnuty na tle życia gazeciarzy.

T.



Przed sezonem wyścigowym

Jesteśmy u progu wiosennego sezonu wyścigów konnych. Należą one do rzędu najbardziej popularnych i ulubionych rozrywek warszawian. Wystarczy spojrzeć na mrowie ludzkie, zalewające w piękny dzień świąteczny rozległe pole Mokotowskie, by się o tem przekonać.

Już oddawna miłośnicy sportu końskiego i namiętni gracze dyskutują po kawiarniach o szansach poszczególnych koni i całych stajen, czujni na każdą wiadomość ze strony „wtajemniczonych" o zmianach, formie, kondycji i gotowości bojowej swych faworytów.

Zima tegoroczna nie sprzyjała należytemu przygotowaniu koni, gdyż długotrwałe mrozy uczyniły z toru zmarzniętą grudę, absolutnie nie nadającą się do użytku. To też w dobrem położeniu znalazły się jedynie stajnie, zimujące na prowincji i posiadające u siebie tory piaszczyste, zawsze odpowiednie do treningu. Do liczby tych należą stajnie: p. Bersona, „Ktery Szepietów"; gen. Plisowskiego, p Andresa i niektóre mniejsze, których konie są bardziej zaawansowane w „robocie". Natomiast przygotowania na torze warszawskim rozpoczęły się dopiero 4-go kwietnia i posuwały bardzo powoli, tak że ostrzej zaczęły konie galopować dopiero w drugiej połowie bież. miesiąca.

Niektórzy trenerzy przygotowują konie systematycznie, nie śpiesząc z „fitowaniem" koni na początku sezonu, wychodząc z założenia, że dobry koń zawsze swoje wygrać musi.

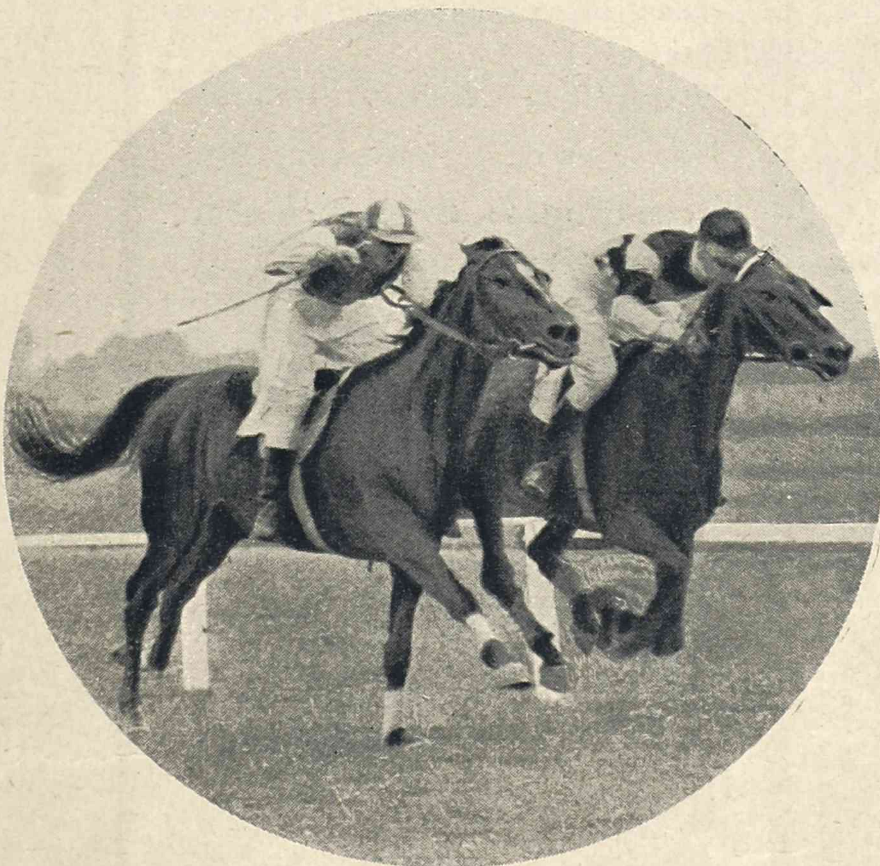
Taką taktykę zastosował doświadczony trener stajni „Natalin" — Żuber, którego konie odnosiły wielkie sukcesy w sezonie ubiegłym. W stajni tej znajduje się jedna z najpoważniejszych kandydatek na tegoroczne „Derby", klasowa córka niemieckiego Bafura - Finesse. Bardzo szybka Fiammina będzie gotowa prawdopodobnie dopiero na koniec sezonu i okaże się groźną kandydatką na jesienny „Oaks". Nieźle biegać powinny klacze Jurna i Festina. Z ogierów najlepiej wyglądają: Salwator i Kret, dalej—Kormoran i Kompas. Klacze tej stajni będą prawdopodobnie górowały na dystansach krótszych, ogierki natomiast powinny się wyróżniać na dystansach ponad 1800 mtr. Z pośród koni starszych groźnymi konkurentami będą zeszłoroczni zwycięzcy: Essor i Eclair.

Druga z kolei co do sum wygranych, stajnia „Alba", manażowana przez doświadczonego sportsmana p. Narewskiego, posiada również klasowe trzylatki, a w pierwszym rzędzie syna wytrzymałego Mości-Księcia: Kazbeka — jednego z bardzo poważnych pretendentów do „Produce", Derbów, „Jubileuszowej" i t. d. Równie dobrze przezimował i wspaniale się rozwinął syn Villarsa: Wigor, który powinien się wyróżnić w sezonie bieżącym. Prawdopodobnie też ukażą się na starcie brat Jasiołdy — Korsarz oraz Irwing. Z koni starszych poza czołowym crackiem: Casanową, który bywa u szczytu formy dopiero na jesieni, wyróżniają się: Warahand, Jawor i Hafis. Dobrze powinien biegać wiosną wybitny krótkodystansowiec Roi Barde.

W wartościowej stawce p. M. Bersona, niedawno przybyłej z Leszna i dobrze wygalopowanej, wyróżnia się Colombo, który spotężniał przez zimę. Koń ten bywa w najlepszej kondycji na wiosnę i powinien odnieść z początkiem sezonu szereg sukcesów. Najlepsza zeszłoroczna trzylatka Ersilja będzie miała w roku bież. trudne zadanie ze względu na ograniczenia w sumach wygranych. Lepiej biegać powinny w sezonie nadchodzącym nerwowy Ergot oraz Eros. Wśród trzylatków tej stajni wyróżniają się: rodzona siostra Falady — Ingoda, — przypuszczalna uczestniczka nagrody „Wiosennej", oraz og. Frenck, który zapowiada się na konia bardzo pożytecznego. Natomiast doskonały, jako dwulatek, Frajer ciężko chorował i prawdopodobnie nieprędko ujrzymy go na starcie. Na Handicap Otwarcia szykuje stajnia 3 l. siostrę Batjara — Fregatę.

W stajni „Bartoszówka" doskonale się prezentuje og. Dżems, z którym trzeba się będzie poważnie liczyć w klasycznych gonitwach sezonu. Powinien potwierdzić wykazaną klasę 4 l. og. Drum w gonitwach zarezerwowanych dla koni starszych na dystansach dłuższych. Poprawić się powinna również Dżonka.

W połączonej stajni „Lubicz" znajduje się pod opieką trenera Michalczyka najlepszy zeszło-



NA FINISZU

roczny dwulatek — wielki, obdarzony wspaniałym, rozciągłym finiszem og. Imperator, który powinien wygrać Derby. Koń ten, już dostatecznie rozrośnięty, jako dwulatek, przez zimę nie urósł więcej, jednak zmężniał i wygląda okazale. Świetnie wyglądają też inne ogiery tej stajni — Imp., Izobar i Irkut.

W stajni p. M. Róga zwraca uwagę galopami i exterierem og. Hel, który powinien być „fit" już na początku sezonu. Doskonałą stawkę posiada stajnia Strzemińskiego; na czoło wysuwają się ogiery — Cherry Boy oraz Komandor. Wyróżni się zapewne też zagraniczny Ferrydor. Z klaczy wspaniale wygląda szybka Amarantina oraz Kohorta.

Najlepszym numerem w stajni „Ktery Szepietów" okaże się zapewne Beduin II. Doskonale też wygląda Wagram, który powinien zaznaczyć swą wartość na krótkich dystansach. Ze stawki trzyletniej biegać będzie coraz lepiej kl. Brytanja— półsiostra wartościowej Madame Bovary, jedna z najpoważniejszych kandydatek na Handicap Otwarcia. Swoje wygra też szybka Szarża.

Znajdująca się w stajni „Topór" — rumuńska Gibson Maid źle się u nas aklimatyzuje, w ciągu zimy chorowała, to też jej forma wiosenna jest narazie wielką niewiadomą. Obecnie najlepiej powinien biegać 3 l. og. Iberus. Wartościowa klacz Jeziorna prawdopodobnie dopiero jesienią wykaże swą wartość.

W szeregach innych stajni pomniejszych pośród trzylatków wyróżniają się: Dalaj Lama i Florencja — p. Wąsowskiego, Doż i Roi Soleil — gen. Plisowskiego, Cacko — p. L. Szwejcera, Minerwa — p. E. Grzybowskiego oraz Tuberoza st. „Łochów"..

Specjalnie ciekawe będą w roku bież. wyścigi koni czteroletnich i starszych, gdzie klasa przypuszczalnych uczestników gonitw jest prawie równa, to też walka będzie zacięta i emocjonująca. Wezmą w niej udział prócz wymienionych powyżej czołowych cracków poszczególnych stajni zapewne także Duce i Jowisz — p. p. K. i S. Enderów, Amulet — st. „Łochów", Izard III p. M. Róga, Chapeau Bas p. Michelisa. Prawdopodobnie też ujrzymy na starcie po rocznej przerwie—Fagasa i Jaszczura II. Wśród klaczy starszych, które ze względu na dolegliwości i właściwe płci wykazują całą wartość dopiero na jesieni, wyróżniają się jeszcze: Rawa, Chyża, Gortyna i Narta.

Jerzy Borycki.

NIEBYWAŁY SUKCES TECHNIKI KOSMETYCZNEJ

WARSZAWA SŁYNIE Z WYTWORNEGO OBUWIA

TOW. PRZYJACIÓŁ SZKOŁY SZTUK PIĘKNYCH

urządza dnia 4 maja r. b. (środa przed świętem) tradycyjną *zabawę wiosenną* w salonach café „Adrja" od godz. 10 wiecz. Najlepsze towarzystwo, humor, werwa stale tym zabawom dopisują. Bilety w cenie 3 zł. u pp. gospodyń i przy wejściu.

Abonenci „Świata" otrzymają wraz z tym zeszytem tom drugi świetnej powieści

P. ROMANOWA p. t.

„Trzy pary jedwabnych pończoch"

Utwór ten ukazuje w jaskrawych barwach rzeczywistość współczesną rosyjską.



Najciekawsze audycje tygodnia

(Sobota 30/IV — piątek 6/V).

30/IV. W 300-lecie zgonu króla Zygmunta III wygłosi odczyt dr. Wł. Bogatyński (g. 17.10), VI audycja z cyklu „Instrumenty muzyczne i głos ludzki w muzyce" (g. 17.35). Muzyka lekka w wyk. ork. P. R. i solistów (g. 20.15). Feljeton Wandy Wójtowicz-Grabińskiej p. t. „Blaszane żołnierzyki" (g. 21 55). Recital szopenowski H. Sztompki (22.10) — w programie m. in. Sonata B-moll z marszem żałobnym.

1/V. Poranek symfoniczny z Filh. Warsz. (g. 12.15), odczyt p. t. „Dar narodowy 3 Maja" b. wojew. Władysława Sołtana (g. 17.30), koncert popołudniowy (g. 17.45). słuchowisko „Stary mąż" p/g. J. Korzeniowskiego (g. 19 45), koncert popularny (g. 20.15), recital jednego z czołowych wiolonczelistów współczesnych, prof. Emanuela Feuermanna (g. 21.50)— w programie m. in. Sonata A-moll Schuberta i „Allegro appassionato" Saint Saënsa.

2/V. Operetka Oskara Straussa p. t. „Smok i Królewna" w wyk. zespołu radjowego (g. 20.15). Feljeton Wacława Grubińskiego p. t. , Pogoda życia" (22.15).

3/V. Poranek symofoniczny z Filh. Warsz. w wyk. orkiestry, chóru mieszanego „Lutni Warszawskiej", oraz Stan. Argasińskiej, M. Janowskiego i T. Zygadło (godz. 12.15). Koncert orkiestry J. Różewicza (g. 15.00). Odczyt red. St. Poraja o Konstytucji 3-go Maja (godz. 16.40). Odczyt p. t. „Zuchwalstwo rok 1822" Stan. Wasilewskiego (g. 17.15). Koncert popołudniowy (g. 17.45), słuchowisko z Wilna p. t. „Zamach 3-go Maja" (g. 19.54). Koncert popularny (g. 20.15), Pieśni Moniuszki w wyk. Al. Michałowskiego (g. 22,10).

4/V. „Moda z punktu widzenia lekarskiego" — odczyt dr K. Mierzeckiego (g. 17.10). Muzyka lekka (g. 17.35). „Staropolska kultura muzyczna" — odczyt A. Chybińskiego (g. 20.00). Koncert chóru Eryana ze Lwowa (g. 20,15). Recital prof. J. Turczyńskiego. Recital śpiewaczy Umberto Macneza (g. 22.00).

5 V. Poranek symfon. z Filh. Warsz. z udziałem solistów (g. 12.15), muzyka lekka (g. 14,20), odczyt p t. „Napoleon w świetle legendy" red. J. Sołtana (g. 16.40), odczyt prof. R. Dybowskiego (Kraków) p. t. „Życie amerykańskie" (g. 17.10), koncert popołudniowy (godz. 17.45), słuchowisko p. t. „Zemsta Cesarza" (g. 19.45), „koncert wiosenny" z udz. solistów M. Fogga i R. Szulca (g. 20.15) recital skrzypcowy Zdz. Roesnera.

6/V. Muzyka lekka (g. 17.35), koncert symfoniczny z Filh. Warsz., który wypełni recital fortep. pianisty francuskiego Roberta Casadesus (g. 20.15). W przerwie koncertu feljeton literacki J. Kaden-Bandrowskiego p. t. „Trud pisarza".



№ 30 (133) SZARADA PRASOWA

(Za rozwiązanie 6 punktów)

Za trafne rozwiązanie niniejszego zadania Redakcja „Świata" przeznacza dwie nagrody; bezpłatną lożę w Teatrze Narodowym na przedstawienie „Stu dni" oraz wartościową nagrodę książkową. Liczby należy zastąpić wyrazami, które, czytane w tejże kolejności, dadzą rozwiązanie.

„KURJER WARSZAWSKI": „...Świetna sztuka znakomitego autora wywołała entuzjazm publiczności. Cały *pierwszy* rozbrzmiewał oklaskami"...

„GAZETA WARSZAWSKA": „...W dziele tem na szczególną uwagę zasługuje pierwiastek *drugi*, wnikliwe wczucie się w dzieje ojczyste"...

„WIADOMOŚCI LITERACKIE": „...Powieść jest *czwartą* w każdym calu. Lwi pazur autora znać w każdym djalogu czy opisie"...

„ROBOTNIK": „...albowiem *trzecie* to naszych towarzyszy na ciężką próbę"...

„GAZETA POLSKA": „...Tę trudną *piątą* rządzenia zdobywa się nie w szeregach partyjnictwa, lecz w bezinteresownej służbie społecznej..."

„EXPRESS PORANNY": „...Wszak o żadnym władcy nie pisano tyle, co *szóstym*..."

„PRZEGLĄD KSIĘGARSKI": „... Autor debiutował tomem nowel, wydanym *osiem* znamiennym *dziewiątym* „Proste drogi"...

„ŻOŁNIERZ POLSKI": „...Ten testament walki zbrojnej przetrwał *dziesięć* lat i za naszych *jedenastych* doprowadził do odzyskania niepodległości..."

„IL. KURJER CODZIENNY": „...Stwierdzamy, że *dwanaście* naszych informacyj, pogłoski o zmianie rządu są bezpodstawne..."

„KINO": „...Wielka w tem jest zasługa *trzynastego* filmu, którego autor jest widocznie wrogiem łatwego szablonu..."

„CZAS": „...Papież przyjął *czternastego* na uroczystej audycji i komferował z nim pół godziny..."

Rozwiązanie zadań z №№ 11-go i 12-go

Trafne rozwiązania nadesłali: pp. Albowicz Jerzy (6), Bahr Adam (16), Boguszewska Irena (16), Bojarski Tadeusz (16), Czyżewski Aleksander (6), Dąbrowska Stanisława (6), Gonczarówna Eugenja (6), Herbstmanówna Dorota (16), Jarkowska Aurelja (6), Kicińska Stefanja (13), Klimczak Roman (16), Kozłowski Czesław (16), por. Kreyzer Edward (3), Książkiewiczowa Józefa (6), Mikowska St. (16). Niemczyński Roman (6), Pretkielowa Stanisława (11), Puchowicz Kazimierz (13), mgr. Rostafiński Marjan (16), Roykiewicz Wacław (16), Sławnicki Michał (16), Stratilato Jan (16), Sułkowska Leontyna (13), Tietz Zygmunt (16), Uklański Aleksander (16), Wolińska Józefa (6), Zagajewski Adam (5), Żukowska Irena (16) — z *Warszawy*, oraz

pp.: Adamska Marja (6),—z Tomaszowa Mazowieckiego, Aleksandrowicz Jan (6) — ze Lwowa, Bieliński Mieczysław (6)—z Kowla, Borkowska Zofja (11)—z Kutna, Bugajska Marja (16) z Kłobucka, Ciuksza Edward (3)—z Wilna, Cywińska Stefanja (16)—z Łomży, Czarnocka Wanda —(16)—z Płocka, Domański Roman (10)— z Płocka, Dorszewski Rudolf (6) — ze Świecia, Faliński Konrad (11) — z Końskich, Fijałkowski Kazimierz (6) — ze Zgierza, Głaziński Aleksander (6) — z Mińska Mazowieckiego, Grodzicki Józef (6)—z Brześcia n/B., Horzelski Wincenty (6)—ze Stanisławowa, Iwańczykowa Marja (6) — z maj. Siernicze Wielkie, Izdebski Ryszard (6) — z Sandomierza, Jackowski Leon (6)—z Piotrkowa Trybunalskiego, Jakubowiczówna Ludwika (6) — z Ostrowitego, Jasiński Wacław (6) — z Horochowa, Kamiński Władysław (6)— z Sochaczewa, Kiersnowski Józef (6) — z Baranowicz, Kowalska Marja (6) — z Włodzimierza, Koziński Michał (16)— ze Skierniewic, kpt. Krasiński Józef (16) — z Krakowa, Krauze Józef (16) — z Żyrardowa, Krupińska Aniela (5)—z Łodzi, Kunicki Ignacy (11)—z Lublina, Duklińska Alicja (6) — z Kielc, Kwiekowa Jadwiga (16)—z Cukrowni „Dobrzelin", Lemański Zygmunt (10)—z Wilna, Linderski Marjan (16) — ze Lwowa, Ludwicki Henryk (3) — z Zagoździona, Łukasiewicz Michał (6) — z Białegostoku, Malinowski Stefan (6)—ze Lwowa, Maliszewski Kazimierz (16)—ze Strzemieszyc, Misiewicz Karol (6)—z Cieszyna, inż. Modrzejewski Józef (16)—z Lublina, Morawski Janusz (6) — z Bielska, Olszewska Irena (6)—z Dęblina, Orzechowska Wanda (6)—z Otwocka, Petrych Jan (16) — z Wronek, Pieracki Zygmunt (16)—z Wilna, Przeradzka Wanda (6)—z Łodzi, Radomski Michał (6)— z Łodzi, Rakowiecka Helena (6)—z Lublina, Rozental D. (9)—z Łodzi, Sawicka Karolina (10) — z Białegostoku, Sobocki Baltazar (10)—z Liskowa Kaliskiego, Sosnowski Kazimierz (5)—z Katowic, Stasiewicz Czesław (6)—z Równego, Szeliga Barbara (6)—z Siedlec, Tarnowski Władysław (6)—z Grodziska, Tobias Henryk (6)—z Kielc, „Tolek z Królewszczyzny" (16), Tyblewski Wacław (16) — z Poznania, Węgierski Ludwik (6) — z Miłosnej, Wróblewska Janina (16) — z Cukrowni „Marja" w Sójkach, Wysocka Ludwika (6) — z Dubna, Zabłocki Gabrjel (13) — z Łucka, Zaleski Czesław (5)—z Kalisza, Życzyński Bohdan (6) — z Nowogródka.

Ankieta „Świata"
„MAŁŻEŃSTWO", ogłoszona w N-rze 17-tym, dostępna jest dla wszystkich Czytelników. Za najciekawsze odpowiedzi przyznane będzie **pięć wartościowych nagród**. Termin nadsyłania odpowiedzi—**10 maja b. r.**

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.* Druk. Galewski i Dau, Warszawa

HUMOR

Matka:—Wstydź się, Jasiu, ubrudziłeś się jak prosiak.

Jasio: — A co to znaczy prosiak?

Matka: — Synek świnki.

*

— To niesłychane! Ten młodzieniec przez cały pierwszy akt oka ze mnie nie spuszczał.

— Czyżby? a gdzież on siedział?

— W następnym rzędzie za nami.

KUPON ZNIŻKOWY Nr. 11

DO TEATRU NARODOWEGO, NOWEGO I LETNIEGO W WARSZAWIE

50%

ważny od 29/IV do 5/V r. b. włącznie, z wyjątkiem niedziel, sobót, świąt, dni przedświątecznych i premjer.

Niniejszy kupon tygodnika „ŚWIAT" uprawnia do nabycia w kasie jednego z powyższych teatrów, o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia od godziny 6-ej po południu biletu dla jednej osoby ze zniżką. Jedna osoba ma prawo nabywać nie więcej, jak cztery miejsca ulgowe jednorazowo. Przy cenach popularnych zniżka 50% oblicza się od cen normalnych.

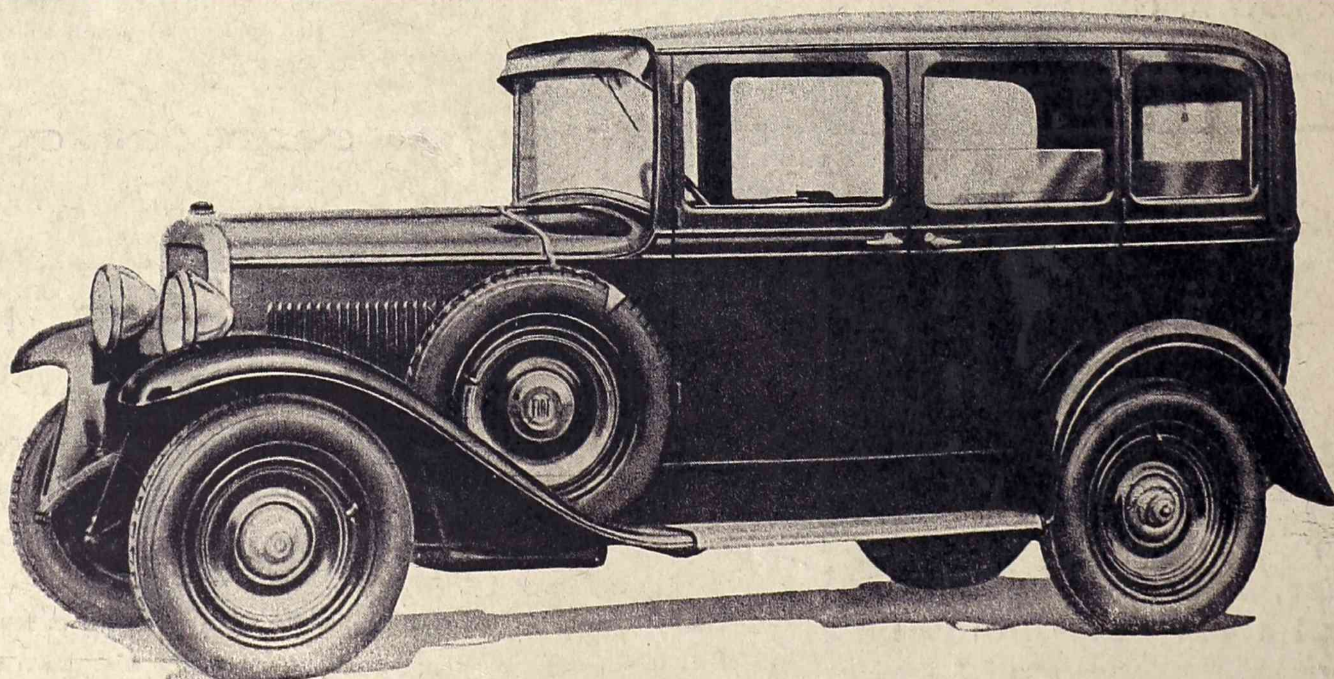
FIAT

514
EXTRA-LUXE

4-ro cylindr. — 6/30 KM

komfortowe limuzyny z 2-ma kołami zapasowemi bagażnikiem, 4-ro biegową przekładnią, oliwnemi amortyzatorami, sworzniami resorów Silentblok

Zł. 12.900



POLSKI FIAT S.A.
WARSZAWA HOTEL EUROPEJSKI